

odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny

Łódź



Przyjaciołom
i Sympatykom
zdrowych
i pogodnych
Świąt

życzy
zespół
„Odgłosów”

NR 51 (1150) ROK XXII

23 GRUDNIA 1979 R.

CENA 3 ZŁ

dziś WIECZÓR jutro RANO...

Iwona
Śledzińska

Ładujemy. Znowu jest dziś. Piątek, godzina 22.15. Warszawa senna.

A w Nachodce... A w Nachodce poranny wiatr kurzy teraz z łbów skalistych wzgórz szaro-brunatnym pyłem. W porcie zaczął się ruch. Elektroniczny zegar na frontonie hotelu informuje dobijających mety podróżnych, wyglądających przez okna transyberyjskiego pociągu, że jest teraz godzina 7.15. Sobota. Więc kiedy tam byłam — dwa czy trzy dni temu... Czterydzieści godzin lotu, trzydzieści godzin w pociągu i tyleż samo chyba oczekiwanie — przy szesnastu startach oraz lądowaniach — na odprawę, bagaż i raptem jedenaście dni. A trasa — bagatela — Warszawa, Moskwa, Irkutsk, Brack, Chabarowsk, Nachodka, do wrót Oceanu Spokojnego. Na zegarkach naszej pięciosobowej grupy pilotowanej przez IRINĘ WORONOWĄ ze Związku Dziennikarzy w Moskwie, prawdziwy festiwal pór dnia i nocy. Dla zachowania poczucia rzeczywistości ktoś tam „trzyma” czas warszawski, drugi budzi się i za-

Ciąg dalszy na str. 10

kontynent nadziei

Małgorzata Golicka

Profesor Konrad Jażdżewski opowiada, że od kilku lat nieznajomi, słysząc jego nazwisko, pytają: „Czy pan jest może krewnym tego słynnego polarnika?” Profesor krasnie wtedy z dumy i wyjaśnia, że Krzysztof Jażdżewski jest jego najstarszym synem.

Doc. dr hab. Krzysztof Jażdżewski, z Zakładu Zoologii Ogólnej Uniwersytetu Łódzkiego, po raz pierwszy pojechał na szósty kontynent w 1974 roku z III wyprawą polskich biologów. W latach 1975–76 brał udział w I antarktycznej morskiej wyprawie badawczej na statku „Profesor Siedlecki”. Dziś Krzysztof Jażdżewski należy do wytrawnych badaczy i miłośników szóstego kontynentu. W Klubie Polarnym przy Polskim Towarzystwie Geograficznym, do którego wstęp mają tylko uczestnicy wypraw, można spotkać kilku łodzian. Pierwsze miejsce wśród nich, ze względu na staż polarny i doświadczenie, zajmuje niewątpliwie dr Leopold Dutkiewicz z Zakładu Geomorfologii i Paleogeografii Czwartorzędu Uniwersytetu Łódzkiego. Uczestnik wypraw na Syberię, Islandię, Arktykę Kanadyjską i Spitsbergen. Dr Dutkiewicz zimował na Antarktydzie na Wyspie King George, (na przełomie lat 1976–78), wraz z geografem doc. dr hab. Józefem Jersakiem — i biologiem mgr. Piotrem Preslerem. Później dołączył na wyspę dr Kazimierz Krajewski i dr Wojciech Kittel. Z wcześniejszą wyprawą dotarł na wyspę doc. Ja-

żdżewski, a obecnie płyną na pokładzie statku „Antoni Garnusze-wski” na wyspę Króla Jerzego z IV Wyprawą Antarktyczną mgr. Piotr Presler i mgr. Jan Siedlecki z Zakładu Zoologii Ogólnej UŁ. Śmiało więc można powiedzieć, że łodzianie czują się na tej antarktycznej wyspie jak u siebie w domu.

* * *

Na Antarktydę ciągnęło Polaków nie od dziś. Pierwsi pojechali na VI kontynent w 1898 r., wraz z wyprawą belgijską, geograf Henryk Arctowski i biolog, Antoni B. Dobrowolski. Po nich, przez blisko 60 lat, nie było słyhać na Antarktydzie języka polskiego. Dopiero po pół wieku zaczęli tam przyjeżdżać, głównie z ekspedycjami radzieckimi, polscy naukowcy, filmowcy i pisarze. Któż z nas nie czytał efektów tych podróży — książek Aliny i Czesława Centkiewiczów. Przez pewien czas byliśmy nawet gospodarzami własnej stacji badawczej im. A. B. Dobrowolskiego. Były to jednak kontakty sporadyczne, stanowiły nie wystarczające dla współczesnych potrzeb.

W czasach, kiedy na Ziemi robi się coraz ciśniej, kiedy jest nas coraz więcej do wyżywienia, ten niedostępny dotychczas dla ludzi kontynent nęci bogactwami naturalnymi i biologicznymi. Występują tu ogromne złoża węgla, metali szlachetnych, a nawet ropy naftowej. Obfitość świata zwierzęcego wabi możliwości pozyskania nowych źródeł żywności. Bogactwa naturalne Antarktydy nie są dotychczas eksploatowane, z wyjątkiem zasobów wodnych. Strzegą ich międzynarodowe przepisy. Antarktyda jest bowiem wspólną własnością państw całego świata, które objęły nad nią międzynarodową kontrolę. Bezludny kontynent to

Ciąg dalszy na str. 6

Gdzie jest
karp?

— str. 4

Załącznik!

— str. 16

My — w oczach
cudzoziemców
— str. 8, 9

Jak oni ładnie się starzeją
— str. 14

Humoreski
— str. 12

O łowiectwie i myśliwych
— str. 5

ROZMOWA ze starszym maszynistą PKP Zygmunt Dawidowiczem

jedzie po szynach lokomotywa

— Długo pracuje pan na kolei?
— W marcu 1980 roku będzie równo 34 lata.
— I od razu zaczął pan na kolei?
— Nie. Uczyłem się ślusarki w jednej firmie w Piotrkowie Trybunalskim.
— A już po wojnie przeszedłem do pracy w PKP, też zresztą w Piotrkowie. Zostałem pomocnikiem maszynisty.
— Co robi pomocnik maszynisty?
— Opiekuje się parowozem. Sprawdza wszystkie urządzenia przed wyruszeniem w drogę, a później pomaga przy jego obsłudze.
— Czy kolejarzki zawód jest tradycją w pana rodzinie?
— Nie. Jestem pierwszym kolejarzem.
— A jako mały chłopiec, czym pan chciał być?
— Nie zgadnie pani. Ani kominiarzem, ani policjantem, ani żołnierzem, ani strażakiem, tylko właśnie kolejarzem. Nawet wszystkie zabawki, jako mały chłopiec, miałem związane z koleją. Bo takie chciałem.
— Ma pan córki czy synów?

Ciąg dalszy na str. 3

Science
-fiction
- str. 7.

Wrażenia z XXI Łódzkiej Konferencji Partyjnej, z dyskusji, jaka się na tej konferencji toczyła, można zamknąć w słowach, parafrazując znane powiedzenie: nie co łódzkie nie było im obce. 19 dyskutantów w swoich przemówieniach, wygłoszonych z trybuny konferencyjnej poruszyło te wszystkie sprawy, które nas martwią, które nam przeszkadzają, z którymi trzeba się uporać. Do dyskusji zgłosiło się jeszcze 17 osób, ale ze względu na ograniczony czas trwania konferencji zostały one zobowiązane do złożenia swych wystąpień do protokołu.

NIC CO ŁÓDZKIE...

W dyskusji było kilka nurtów. Pierwszy — to duma z tego, cośmy do tej pory zrobili w Łodzi i województwie łódzkim miejskim. Było to jakby spojrzenie wstecz, do początku lat siedemdziesiątych, do tego momentu, kiedy zaczął się dla Łodzi okres wielkich przemian. Zwrócił na to uwagę wicepremier Jan Szydłak, przypominając, że z łódzką organizacją partyjną wkraczał w dekadę lat siedemdziesiątych, patronując niejako przygotowywanemu programowi przemian z ramienia Biura Politycznego KC PZPR, i teraz u początku lat osiemdziesiątych wkracza wraz z łódzką organizacją

partyjną w następny okres rozwoju i miasta, i kraju. Program przemian tego okresu zawarty zostanie w uchwałach VIII Zjazdu PZPR.

Dyskusję na XXI Łódzkiej Konferencji Partyjnej traktowano jako udział w dyskusji nad „Wytycznymi KC na VIII Zjazd PZPR”. Nie ograniczano się więc tylko do oceny tego, co dokonaliśmy, ale mówiono o przyszłych potrzebach, o trudnościach, jakie występują w naszym życiu i zastanawiano się nad sposobami ich przezwyciężenia.

Zgłaszano różne propozycje, świadczące

o poszukiwaniu rozwiązań, które czyniłyby działalność gospodarczą i społeczną bardziej efektywną. Na przykład Mirosława Jagła, I sekretarz KZ PZPR w ZPO im. dr Próchnika w Łodzi, zastanawiała się nad opłacalnością eksportu tkanin i odzieży. Wiadomo, że bardziej opłaca się eksportować odzież, ale z eksportu tkanin też nie można zrezygnować. Zaproponowała więc wprowadzenie eksportu pośredniego, który zapewniałby przemysłowi włókienniczym udział w eksportowych rozliczeniach. Zastanawiała się też nad możliwością wprowadzenia „odpisów dewizowych”, które by fabrykom

szczególnie przyznającym się do uzyskiwania dewiz, stwarzały możliwość kupowania za granicą potrzebnych im maszyn i urządzeń.

O racjonalnym gospodarowaniu użytkami rolnymi mówił Józef Miksa, prezes Rolniczej Spółdzielni Produkcyjnej we Wróblewie. Jego zdaniem zbyt pochopnie wyłącza się spod upraw wiele cennej ziemi. Nie zawsze można budować tylko na nieużytkach, bo miasta rozwijają się według planów, które nie mogą do końca liczyć się z interesami rolnictwa. Ale zdarza się i tak, że nawet na kilka lat przed rozpoczęciem budowy ziemię ograda się i wyłącza spod upraw, co jest niedopuszczalnym marnotrawstwem.

Nie zabrakło też spraw kultury. O kulturalnym awansie miasta i jego tradycjach mówił Wacław Biliński, I sekretarz POP przy łódzkim oddziale Związku Literatów Polskich. Zwrócił on uwagę na odmienną i niepowtarzalność Łodzi. Jest to największe skupisko proletariatu, które wymaga odmiennego modelu upowszechnienia kultury. A takiego modelu — zdaniem Wacława Bilińskiego — miasto się jeszcze nie dorobiło. Posiada jednak wszelkie możliwości aby tego dokonać: środowisko humanistyczne uniwersyteckie, socjologów, działaczy kultury, środowiska twórcze i artystyczne oraz ogromne rzesze potencjalnych odbiorców. I zdaniem mówcy Łódź powinna się takiego, specyficznego, własnego modelu u-

powszechnienia kultury dorobić.

We wszystkich przemówieniach, a wspomnieliśmy tylko niektóre, przebiegała się troska o nasz dzień dzisiejszy i nasze jutro. Nie jest naszym zamiarem pisać teraz o wszystkim. Wróćmy do tych spraw w następnym numerze Odbłosów. Opublikujemy artykuł L. Włodkowskiego pt.: „Inny pejzaż” będący obszernym omówieniem spraw poruszanych w dyskusji na XXI Łódzkiej Konferencji Partyjnej.

Redakcja

PISARZE PROTESTUJĄ...

„Poki jest najwyższym dobrem człowieka, wiemy to zwłaszcza my Polacy, przez których ziemię tylko w tym stuleciu przetoczyły się dwie wojny światowe.

Naród nasz zapłacił najstraszliwszą cenę w historii w obronie swego istnienia i kultury. To tragiczne doświadczenie dziejące się pod naszymi nogami, która zawsze stała w obronie człowieka.

Dlatego potępiamy uchwały konferencji brukselskiej NATO, które zmierzają do przekształcenia Zachodniej Europy w olbrzymi arsenał broni nuklearnej wywołanej w naszym mieście, w naszym domu. Opowiadamy się za ideą powszechnego rozbrojenia”.

PISARZE ŁÓDZCY
ZGROMADZENI W DNIU
18 GRUDNIA 1979 R.

NIE TYLKO HISTORIA

Grunwaldzka victoria Władysława Jagiełły przeszła do narodowej legendy, choć historycy dzisiejsi są bardziej powściągliwi w jej ocenach. Pyszne zwycięstwo militarne połączonych oddziałów polskich, litewskich, ruskich i czeskich nad kondotierami z całej Europy, którzy pod sztandarami Zakonu Szpitala Najświętszego Marii Panny Domu Niemieckiego usiłowali odepchnąć nas od naszych etnicznych ziem, nie znalazło w roku 1410 wyrazu politycznego. Trzeba było jeszcze wojny trzynastoletniej zakończoną pokojem toruńskim w roku 1466, aby polska ofiara krwi na polach Grunwaldu zaowocowała wreszcie trwałym umocnieniem naszej pozycji na

Rosenblum za 40.000 reńskich (kwotę tę podaje na odpowiedzialność Bolesława Prusa) i wystawił w marcu 1879 roku w Warszawie w pałacu Namiestnikowskim na Krakowskim Przedmieściu, w dzisiejszej siedzibie Prezydium Rady Ministrów. Od samego początku zrodził się projekt odkupienia obrazu od pierwotnego nabywcy i przekazania na własność narodowi polskiemu.

Nie chcę tu przypominać wytoczonej przez prasę batalii w tej sprawie, która przysłała „Bitwę pod Grunwaldem” Matejki legendę równą chyba grunwaldzkiej victorii. Ostatecznie obraz stał się własnością Warszawy i miał wraz z nią, w okresie okupacji hitlerowskiej, podzielić los Zamku

zrozumeli wagę i znaczenie chronienia polskiej kultury przed całkowitym jej unicestwieniem przez wrogów. Ratowali zabytki, ukrywali je, zabezpieczali, rejestrowali twórczość artystów placząc nie raz za tę działalność życiem. Podczas oblężenia Warszawy, idąc do Muzeum na pomoc zagrożonym zabytkom zginęła małżeństwo Halina i Stanisław Osostowicz. Dzieła Matejki we wrześniu 1939 roku ratowali Antoni Suchanek, Bolesław Surawo-Gajducheni oraz Stanisław Ejsmond. Tych dwóch ostatnich artystów zabili bombą w Lublinie.

„Bitwa pod Grunwaldem” Matejki ma więc nie tylko swoją legendę. Ma swoją martyrologię. Zwinęte w rulon

sytytu Jagiellońskiego. Kopiował także „Wyjście żaków z Krakowa”, „Stańczyka” oraz pięć obrazów z Matejkowskiego cyklu „Dzieje cywilizacji w Polsce”. „Bitwa pod Grunwaldem” kopiowana na zamówienie Ministerstwa Kultury i Sztuki jest najpoważniejszą tego typu pracą Zdzisława Pabisia i potrwa dwa lata. Artystę wspomagać będzie dwu, trzyosobowy zespół plastyków. A oto co mówi Zdzisław Pabisia przedstawiciel „Przekroju”: Nie mam prawa i nie będę dokonywał żadnych poprawek błędów, które niektórzy zarzucają Matejce: a to, że zła perspektywa, a to, że jest trochę na baki z anatomii. Matejko to wielki malarz, zresztą — jestem tylko kopi-

szaj zniszczenia. Wiadomo, pień nadaje na remont są, ale nie ma wykonawcy, którego będzie znaleźć tym trudniej, że chodzi o zabytek.

„Filce”, jak się popularnie mówi w Tomaszowie, są starsze niż samo miasto. Założył manufakturę sukna nad Wolbórką hrabia Antoni Ostrowski, którego majątek uległ konfiskacie po powstaniu listopadowym, ani przypuszczał chyba, że w murach założonej przez niego fabryczki, tkane będzie płótno na kopię „Bitwy grunwaldzkiej”. Spłatanie polskie losy zbiegają się gdzieś na historycznym szlaku splecie wspólną kłamrą, umożliwiają ojczyznę. Z najstarszych zabudowań fabryki sukna pozostał do dziś budynek „Bawili”, gdzie mieści się przedsiębiorstwo, część tkalni i dział konfekcji. Niektóre maszyny mogły oglądać Matejko, gdyby przypadkiem zawitał do Tomaszowa, ale zamówienie na płótno do „Bitwy pod Grunwaldem” umieścił gdzie indziej.

Współczesne zamówienie do kopii „Bitwy pod Grunwaldem” wykonano w nowym budynku tkalni, gdyż w początkach lat siedemdziesiątych zakłady uległy częściowej modernizacji. W roku 1972 wymieniono przedziałki, w latach 1973-74 zaczęto wymienić krosna. Tkanina na „Grunwald” została utkana na nowoczesnym krosnie produkcji hiszpańskiej.

W szczególności techniczne całości przedsięwzięcia wprowadza mnie kierownik tkalni, inż. Alfreda Pelka, absolwentka Wydziału włókienniczego Politechniki Łódzkiej, która w „Filcach” pracuje trzeci rok, choć ma już za sobą dziesięcioletni staż pracy w różnych zakładach tomaszowskich.

Tkanina na „Grunwald” wykonana została w pierwszych dniach sierpnia. Choć z technicznego punktu widzenia przedsięwzięcie nie było czymś nadzwyczajnym, zakłady wykonywały już nie raz tkaniny tych rozmiarów, cała załoga została wtajemniczona w przeznaczenie wyrobu. To była naprawdę sprawa, którą emocjonowali się wszyscy. O wadze sprawy przekonała ludzi także informacja dziennika telewizyjnego, dzięki której społeczeństwo dowiedziało się o istnieniu żyjących nieco w cieniu zakładów.

Użyto polską przedzielną o numeracji stosowanej zazwyczaj do produkcji tkanin technicznych, której dostarczyły zakłady w Nowej Soli. Samo przygotowanie operacji zajęło jedną pełną dobę, bo tkanina o tej szerokości musiała być tkana w tzw. podkowie. Trudność sprawiała jeszcze to, że tomaszowska fabryka przera-

bia niewiele lnu, który jest bardzo kapryśny, ma kruche włókna, często się łamie. Nitka lniarska sprawia także kłopoty w procesie snucia, gdyż jest mało elastyczna, a tym samym podatna na zrywy. Ale ta nierozciągliwość lnu, która utrudnia pracę tkacza, jest jednocześnie jego zaletą dla malarza, bowiem wyprodukowane płótno nie rozciąga się zachowując pierwotny kształt.

Aby uniknąć zmechcenia tkaniny, i zrywania się nitki podczas tkania, przędza została nawoskowana. Trzeba było także specjalnie przygotować maszyny, aby tkanę w podkowie tkaninie zapewnić stały nacisk. Dlatego walki tarczowe obito ugiłową taśmą draparską. Tylko bowiem jednolite napięcie gwarantowało stałą gęstość tkaniny, a to w tego typu przedsięwzięciu jest najważniejsze.

Wprowadzono wreszcie kilka nitek elanowych aby wzmocnić brzozi krajek. Trzeba było potem, po zakończeniu tkania, ręcznie wyciągnąć, nad czym trudziła się cerowaczka artystyczna Zofia Halaćka pracująca w Tomaszowskich Zakładach Filców Technicznych od trzydziestu lat.

Samo tkanie płótna na „Grunwald” trwało cztery doby na trzy zmiany. Nad operacją czuwał kolejno mistrzowie Czesław Dębicki, Konrad Przysuszyński oraz Mieczysław Józwiłk i Jerzy Gruszczyński, którzy włączyli się do pracy, bo wymagał tego proces technologiczny. Bezpośrednio krosna obsługiwały młodzieńkie robotnice z ZSMF: Anna Magiera, Czesława Zenka i Barbara Pajak. Chciały się z powierzonego im zadania wywiązać jak najlepiej i dopieły swego, choć tego rodzaju praca jest szczególnie trudna dla tkacza, bo nie może obserwować części tkaniny nakrytej warstwą zewnętrzną i aby skorygować swoją robotę musi za każdym razem zatrzymać maszynę.

Utkana tkanina miała gęstość stu wątków na dziesięć centymetrów i gramaturę 295/m kw. Oznacza to, że jeden metr bieżący „grunwaldzkiego płótna” waży 1185 g, a cała tkanina ok. 60 kg. Złożona na pół, nawinięta na specjalny walek pojechała do Krakowa z filcowymi „biskoptami” specjalnym „Zukiem” krakowskich Zakładów Przemysłu Gumowego i dotarła do pracowni Zdzisława Pabisia.

Zaś Tomaszowskie Zakłady Filców Technicznych na zamówienie wojska wykonywały w ostatnich dniach listopada kolejną tkaninę lniarską podobnych rozmiarów, na której namalowana zostanie panorama bitwy o Kołobrzeg w marcu 1945 r.

Kto złoży następne zamówienie?

KONRAD FREJDLIH

OPERACJA „GRUNWALD”

Pomorza. Ale mimo tych wszystkich zastrzeżeń bitwa pod Grunwaldem pozostaje po dziś dzień żywym symbolem zwycięstwa polskiego nad teutońską ekspansją i przez wszystkich historyków uważana jest za jedną z najważniejszych i największych bitew europejskich średniowiecza.

Czy można się więc dziwić, że echa tej bitwy nawet po upływie wieków posłużyły wielu artystom do przypomnienia polskiej chwały? W ich rzędzie znalazł się Jan Matejko, który od roku 1882 podjął prace nad wielkimi kompozycjami malarskimi poświęconymi dziełom ojczyzny. Chronologicznie na początku tej listy znajduje się słynny „Stańczyk”, portret nadwornego błazna dwóch polskich monarchów, trefniśia, co w polskiej legendzie stał się symbolem patriotyzmu połączonego z mądrością polityczną, której brakowało nam pod Grunwaldem. Uzupełniają ten cykl takie tematy jak „Kazanie Skargi”, „Rejtan”, „Unia Lubelska”, „Batory pod Pskowem”, „Zawieszenie dzwonu Zygmunta” i wiele innych łącznie ze słynnym „Holdem pruskim”, który Matejko podarował swemu rodzinemu miastu, jest na tej liście wielkich historycznych rekonstrukcji „Sobieski pod Wiedniem”, „Kościuszkę pod Racławicami”, „Konstytucja 3 Maja”.

„Bitwa pod Grunwaldem” powstała w roku 1878. To ogromne, liczące wiele dziesiątków metrów płótno zakupił finansista warszawski Dawid

Królewskiego. Jeśli stało się inaczej, zawdzięczamy to w pierwszym rzędzie bezprzekładnej ofiarności pracowników Muzeum Narodowego z prof. Stanisławem Lorenzem na czele, którzy z narażeniem własnego życia ratowali skarby polskiej sztuki przed niemiecką grabieżą i zniszczeniem.

Zacytujmy fragment monografii Janiny Jaworskiej „Polska sztuka walcząca 1939-1945”: Dużą rolę w zachowaniu naszej kultury odegrały Towarzystwo Opieki nad Zabytkami Przeszłości z prof. Marianem Łalewiczem i Muzeum Narodowe z dyrektorem Stanisławem Lorenzem na czele. Już w okresie oblężenia Warszawy Komisja Opieki nad Zabytkami przy Ministerstwie Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego kierowała ratowaniem zabytków, w którym wzięli udział historycy sztuki i konserwatorzy — Michał Walicki, Jerzy Sienkiewicz, Jan Morawski, Maria Friedel-Bogucka, Hanna Garlińska-Zembrzaska, Stanisław Sawicki, Stefan Kozakiewicz, Stanisław Gebethner, Bohdan Marconi, Antoni Wierockiewicz, Anna Szemiotowa, Zygmunt Miechowski i wielu, wielu innych. Przez całą wojnę zespół ten ofiarnie i intensywnie czynił wszystko, co możliwe, by ocalić zbiory Muzeum jak też dzieła sztuki przywożone do Warszawy z terenów całej Polski. Prace te przerwa-

Także plastycy na terenie całej Polski natychmiast

płótno w tajemnicy przed Niemcami, a zwłaszcza kierującym grabieżą dr Józefem Mühlmannem oraz ppor SS Theo Delselem z Mopachium, wywieziono w bezpieczne miejsce do Lublina. Po wojnie „Grunwald” zdobył jedną z komnat orestaurowanego zamku krzyżackiego w Malborku. Jeszcze jeden paradoks historii, jeśli się zważy, że nawet autorzy grunwaldzkiej victorii nie przestapili progu marienbuskiej twierdzy. Dopiero w roku 1957, a więc podczas wojny trzynastoletniej, Polska i sprzymierzone z nią Stany Pruskie wykupiły gniazdo krzyżackie od zamkniętych w zamku zaciełników, którym Wielki Mistrz nie wypłacił zoldu. W ten sposób Zakon odepchnięty został od Inflant, aby się odrodził dopiero po wielu wiekach pod berłem Hohenzollernów, kiedy szyszali zacięłych rycerzy zastąpiła pikiethauba.

Ale pozostawmy te dywagacje historyczne specjalistom dziejów Polski i niemcoznawcom, a zajmijmy się kolejnym wcieleniem „Matejkowskiej „Bitwy pod Grunwaldem”. Jak doniosła prasa, historyczny obraz znajduje się w odbudowanym Zamku Królewskim w Warszawie, a w Zamku Malborskim zawieszono naturalnej wielkości kopię. Tego wielkiego zadania podjął się znany krakowski malarz Zdzisław Pabisia, absolwent ASP. Jest on doświadczonym kopiści, robił między innymi powtórzenie Matejkowskiego „Kopernika”, które zdobył muzeum Uniwer-

Redaguje kolegium: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), WŁODZIMIERZ STOKOWSKI, LUCJUSZ WŁODKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), JERZY KATARASINSKI (sekretarz redakcji) oraz zespół: RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLIH, MALGORZATA GOLICKA, JACEK INDEK, BUGENIUSZ IWANICKI, RYSZARD LUCYSZYN (fotoreporter), BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, JERZY RYMIŃSKI, TOMASZ SOLTENHOFF, GRAŻYNA SZYPOWSKA (redaktor techniczny). Stałe współpracowniki: JAN BABIŃSKI, ANDRZEJ BLAJER, TADEUSZ BLĄZIEWSKI, TADEUSZ CHROŚCIELEWSKI, ORZEGORZ GAZDA, ANDRZEJ P. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, ANDRZEJ MAJER, ZBIGNIEW S. NOWAK, EWA NURCZYŃSKA, WŁADYSŁAW ORŁOWSKI, JERZY PANASEWICZ, EWA PANKIEWICZ, KRZYSZTOF POGORZELCZAK, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPARSKI, JANUSZ SZYMARSKI-OLANC, JERZY WILMARSKI.

odgłosy

DZIEŃ JAK CO DZIEŃ

Dalszy ciąg ze str. 1

— Dwóch synów.
— I który z nich został kolejarzem?
— Ani jeden, ani drugi.
— Dlaczego? Czyżby nie było zabawek związanych z koleją?
— Takie zabawki to były i są. Nawet ładniejsze niż za moich czasów. Ale oni doszli do wniosku, że praca ojca jest zbyt dla nich ciężka.
— I co robią?
— Starszy ukończył Uniwersytet Łódzki, ekonomię, i odbywa służbę wojskową. Młodszy jest geodetą i pracuje w Łodzi.
— Ma pan do nich o to żal?
— Każdy ma prawo do wybrania takiego zawodu, jaki mu odpowiada.
— A kiedy został pan maszynistą?
— W 1950 roku.
— Co trzeba zrobić, aby zostać maszynistą?
— Ukończyć kurs i złożyć egzamin. Ale ja zdawałem jako ekstern. Miałem dużą praktykę i nie musiałem chodzić na kurs.
— Jeździł pan wtedy na parowozie. A kiedy przesiadł się pan na elektrowóz?
— W 1956 roku skierowano mnie do Warszawy na kurs i po ukończeniu tego kursu zostałem maszynistą elektrowozu. Nawet proponowano mi, abym został w Warszawie.
— Ale wrócił pan do Łodzi.
— To znaczy, wróciłem właściwie do Kolu-
szek, bo tam mieszkała moja żona i tam mieszkamy do dziś, ale do pracy wróciłem do Łodzi.

miał większe poważanie, że otaczała go legenda? Co się zmieniło?

— Kolej się zmienia. Kiedyś kolejarz miał mnóstwo różnych rzeczy, które go wyróżniały. Na przykład latarka karbidówka. Nośił ją na piersi. Wiadomo było, że jest na służbie. Dziś ma elektryczną latarkę w kieszeni. Albo gwizdek. Dawniej były to gwizdki z kości. Miały piękny dźwięk. A teraz są z masy plastycznej. I niczym nie różnią się od tych, których używają inni. Każdy chłopiec może sobie kupić taki gwizdek. I trąbki sygnałowe są nie z mosiądzu, pięknie lśniące w słońcu, z kościanym ustnikiem, tylko z ocynkowanej blachy. To wszystko były drobiazgi, ale tworzyły pewną atmosferę wokół zawodu kolejarza. Starzy kolejarze do dziś pieczołowicie chowają stare kolejarские wyposażenie. Na pamiątkę. Dla wspomnień.

— Czy wie pan o tym, że kiedyś można było regulować zegarki według tego, jak kursowały pociągi?

— Sam tego nigdy nie robiłem. Ale słyszałem od starych kolejarzy, od których się uczyłem zawodu, że coś takiego się działo. Pamiętam też, że przed wieloma laty spóźniłem się na pociąg o 3 minuty. Musiałem się z tego tłumaczyć, ale i to nie pomogło, bo do stałem naganie.

— A dziś?

— Dziś na to nikt nie zwraca uwagi. Byłe dojechać.

— Dlaczego?

— Wozimy teraz więcej towarów. Cztery razy więcej niż przed wojną. I o wiele więcej



„To mnie denerwuje nie jako pasażera, ale jako kolejarza”.
Foto: R. Łucyszyn

— A pan gdzie najchętniej wypoczywa?

— Ze względu na stan mojego zdrowia powinienem jeździć do Kołobrzegu. Po 25 latach pracy przysługuje mi nawet prawo leczenia się tam w sanatorium. Ale jak do tej pory nie skorzystałem. Byłem w Kołobrzegu i leczyłem się prywatnie.

— Gdyby powołano pana na stanowisko ministra komunikacji, czym by się pan zajął w pierwszej kolejności?

— To jest w ogóle niemożliwe. Ale założmy, że obdarzono by mnie taką zaszczytną funkcją, to zająłbym się wagonami. Nie ma pani pojęcia, jak dużo wagonów niszczy się. Kolej powinna szanować klienta, to pewne, ale i klient musi szanować przewoźnika. A bywa tak, że jak się zatną drzwi w wagonie, bo towary źle ułożono i zablokowały drzwi, to otwiera się je ciurkami. Poniszczony wagon stojąc później i czekając na kolejkę w zakładach naprawczych, a że jest tam sporo roboty, to nie mogą się doczekać. Więc włącza się je do pociągów i wozą się towary poniszczonymi wagonami.

Jechałem kiedyś do Lublina i nagle widzę cały tor usłany puskami z groszkiem. Polączyłem się przez radiotelefon z najbliższym posterunkiem PKP i mówię, żeby zatrzymali pociąg, bo z wagonu sypie się towar. Wagon był dziurawy, kartony rozmołyły, puszkę zaczęły wysypywać się na tory. A żeby pani widziała, ile zboża sypie się z wagonów. Aż żal patrzeć, bo my przecież tego zboża za wiele nie mamy.

— Wiec, co by pan zrobił?

— Kiedyś tow. Edward Gierk i tow. Piotr Jaroszewicz przyjmowali delegację kolejarzy, to ja byłem w tej delegacji. Wtedy powiedziano nam, że nie można oszczędzać na transporcie. Pieniądze są i jak one będą wydane, to już zależy od tych, którzy kierują poszczególными odcinkami na kolei. Uważam, że można zwrócić się do ludzi, dobrze im zapłacić i oni nawet po godzinach wiele wagonów doprowadzą do porządku. Niech tak zrobią na każdej stacji, to nie będziemy dziurawymi wagonami wozili towarów i zboża.

Nie godziłbym się po prostu, aby na kolei stały beczynne wagony i lokomotywy. A tak się zdarza. Brakuje części, niech się więc ktoś zepsuje, to wymontowuje się z niej części a lokomotywę wysyła do zakładów naprawczych. Nim tam dotrą, to mija wiele czasu.

— Czy pan boi się zimy?

— Nie. Dlaczego mam się jej bać? Jak służby drogowe dobrze się do zimy przygotowują, to nic nam nie grozi. Ubiegłej zimy, taka jest prawda — służby drogowe nie śpieszyły się. I stąd to wszystko.

— A czy boi się pan emerytury?

— Chciałbym jak najdłużej pracować na kolei. Chciałbym jeszcze prowadzić pociąg z szybkością 160 km na godzinę. Ale chyba tego nie doczekam. Mam działkę. Mam wiele do odrobienia z tego, czym się teraz nie mogę interesować. Przydam się też chyba i w pracy społecznej. Nie będę się nudził.

— Co pan ma do odrobienia?

— Wie pani, to wstyd się do tego przyznać, ale taka jest prawda i nie ma jej co ukrywać. Ja nie chodzę do kina czy do teatru. Bo nie mam kiedy. Zona z synami chodziła, oni teraz sami chodzą. Jak oni szli do kina, czy do teatru, to ja albo na służbę, albo do łóżka, żeby wypocząć przed służbą. Gazety czytam w przerwie między jazdami. W telewizji oglądam, jak mogę, dziennik. I to wszystko.

— Jak się panu wypoczywa na służbie, kiedy jest przerwa między jedną jazdą a drugą?

— O, w naszych noclegowniach wiele się zmieniło. Wyposażone są i utrzymane lepiej niż hotele i klasy. Tak jest na przykład, u nas na Olechowie, w Ostrowie Wielkopolskim, trochę gorzej w Warszawie.

— Zbliża się Sylwester. Gdzie go pan spędzi?

— Na służbie. W Sylwestra o 15 jadę do Ostrowa Wielkopolskiego, a potem do Warszawy. Służbę kończę w Nowy Rok o godzinie 14.30.

— A co na to żona?

— Przyzwyczaiła się. Na 27 lat małżeństwa byliśmy razem na balu sylwestrowym tylko... raz. Taki jest los żony maszynisty.

— Co życzysz się maszyniście?

— Nic. Podobnie jak pilotom. Ja nie jestem przesadny.

— Czarnego kota na torach pan się nie boi?

— Nie. Ale jakoś tak się ułożyło, że maszyniści nie lubią, jak im się czegośkolwiek życzy.

Rozmawiała: BOGDA MADEJ

KONSTANTY ILDEFONS
GAŁCZYŃSKI

SPOTKANIE Z MATKĄ

(fragmenty)

Ona mi pierwsza pokazała księżyc i pierwszy śnieg na świerkach, i pierwszy deszcz.

Byłem wtedy mały jak muszelka, a czarna suknia matki jak Morze Czarne. Noc.

Dopala się nafta w lampce. Lamentuje nad uchem komar. Może to ty, matko, na niebie jesteś tymi gwiazdami kilkoma?

Albo na jeziorze żaglem białym? Albo falą w brzegi pochyłe? Może twoje dlonie posypały mój manuskrypt gwiazdystym pyłem?

A może jest południowa godzina, mazur pszczoł w złotych sierpniach pokojach? Wczoraj szpilkę znalazłem w trzcinach — od włosów. Czy to nie twoja?

Ciemne olchy stoją na moczarze, rozsypuje się w mokradłach próchno. Ej, rozświał się wiatr na fujarzy, małe gwiazdki nad olchami zdmuchnął.

Mała myszka przez ścieżkę przebiegła. Droge Mleczną nietoperz wymierzył. I wiatr ucichł nagle. I zza węgla z fajką srebrną w zębach wyszedł księżyc.

Rozświeciły się świeceniem wielkim chmury, dziuple, żółędzie i sęki — jakby cały świat był srebrnym świerkiem, srebrnym bąkiem grającym piosenką.

Listki drzeń zaczynają, ptaki w ton uderzają, słońce wschodzi nad knieję, serce jak śnieg topnieje.

Listkom rosnąć, opadać, ptakom też wiecznie nie żyć, słońcu wschodzić, zachodzić, sercu gwiazdy i skrzypce.

Jak pudełko świeczek choinkowych, nagle, w ręku, gdzieś od dna kredensu, myśli nagle tak wychodzą do głowy, serce trąca i sercem zatrząsa.

Świeczki takie kupowała mama. One drzemią. W nich śpi piękny zamiar.

Tylko rozwin je i tylko zapal, a zobaczysz, co z tego wyniknie: w świeczkach błysnie drogą twarz owal.

Matka palec wzniesie. Wiatr ucichnie, Matkę w ręce ucałuj i włosy, potem śniegu po uliczkach rozsyp, żeby błyskał się i żeby chrząścił.

Potem wszystkie światła, co migocą, do walizki zamknij. Otwórz nocą, jeśli w drodze spotka cię nieszczęście.

Niebo to jest małe miasteczko w niedzielę, gwiazdy gapią się na ziemię z okien, a wiadomo, że gwiazd jest wiele i że wszystkie są niebieskookie.

A tam w rogu, w mieszkaniu z balkonem, w jednym oknie gdzie kwiat czerwony, a to drugie okno z drugim kwiatem...

tam ty mieszkasz. I pogrzebaczem fajerki przesuwasz. I płaczesz. Bo tak długo czekasz mnie z obiadem.

JEDZIE PO SZYNACH LOKOMOTYWA

— Gdyby panu teraz zaproponowano powrót na parowóz, zgodziłby się pan?

— Z wielką przyjemnością. Natychmiast.

— Dlaczego? Przecież jeździć elektrowozem jest przyjemniej, czystiej, szybciej, wygodniej.

— U mnie w parowozie też było czysto. Zawsze chodziłem do pracy w czystym mundurze i niejednym raz dziwił się zawiadowcy stacji, dyżurni ruchu, czy inni koledzy, gdzie ja się wybieram. Czysto może być i w parowozie. Ale jazda parowozem miała większy urok.

Kiedyś ojciec przyprowadził trzyletniego chłopczyka na stację, aby mu pokazać pociąg. Stali akurat koło mojej kabiny i słyszałem ich rozmowę. — Widzisz, to jest lokomotywa, a za nią wagony, i to jest pociąg — tłumaczył ojciec chłopczykowi. A on na to — Ja chciałem zobaczyć taki pociąg, co bucha. Para buch!

Widzi pani, nawet dzieciom bardziej podoba się parowozy. Nim wyruszyło się w drogę, trzeba było wytworzyć sobie energię, obejrzeć maszynę, wszystko sprawdzić. Człowiek się jakoś z taką maszyną zżywał. Znal ją dobrze, wiedział czego się po niej może spodziewać. A poza tym przed kabiną miał kilkadziesiąt ton żelaza, które w razie wypadku chroniło go, stanowiło pancierz. Bać się trzeba było tylko tego, że jak pięknie jakaś rura z parą, to może śmiertelnie poparzyć.

Do elektrowozu przychodzi się, przegląda książkę pokładową, sprawdza się, co zapisał poprzednik, czy zrobiono to, co on polecił i odjeżdża się. Ja wprawdzie przychodziłem godzinę wcześniej i sprawdzałem maszynę, ale to stały nawyk. W niedługiej przyszłości maszynista będzie jak pilot, tylko odbierze maszynę z rąk obsługi, pojedzie do wyznaczonego punktu i odda.

— Czego boi się pan jadąc elektrowozem?

— Zderzenia z innym pociągiem. W elektrowozie mam przed sobą tylko 4 milimetry szyny szklanej.

— Zdarzyło się już panu coś takiego?

— Nie miałem jeszcze wypadku, który powstałby z mojej winy. Ale raz już skakałem z kabiny. Przede mną wykołosił się pociąg. Zaczęłam hamować i w ostatniej chwili wyskoczyłem. Ale mój pociąg stanął na kilka metrów przed rozbitym składem. Nikomu nic się nie stało.

— Przepraszam bardzo, a co pan wozí, towary czy ludzi?

— Ludzi. Jeżdżę pociągami osobowymi dalekobieżnymi i pociągami.

— Czy ma pan określone trasy?

— Tak. Na ogół jeżdżę do Gliwic, Katowic, Lublina, Ostrowa Wielkopolskiego i Siedlec.

— A teraz po naszej rozmowie, gdzie pan pojedzie?

— Z Olechowa do Łodzi Fabrycznej, później na Kaliską, a później do Siedlec. Powrót następnego dnia.

— Czy zawsze chodzi pan w mundurze kolejarzskim?

— Nie, tylko wtedy, kiedy mam służbę.

— Dlaczego dziś tak mało ludzi widuje się w kolejarzskich mundurach?

— Bo i te mundury nie są najlepszej jakości. Trzeba o nie dbać, aby można w nich było chodzić na służbę. A poza tym, to jak się człowiek pokaże w mundurze gdzieś w okolicy dworca, to zaraz mają do niego pytania, pretensje. A ja przecież za wszystko nie odpowiadam i o wszystkim nie wiem. Więc lepiej, jak nie widzą, że jestem kolejarzem.

— Czy nie uważa pan, że kiedyś zawód ten

pasażerów. Poza tym sam kiedyś jeździłem z szybkością 80 km na godzinę, a teraz z szybkością 60 km na godzinę.

— Czy korzysta pan z usług PKP jako pasażer?

— Tak, dojeżdżam przecież do pracy. Z Kolu-
szek do Olechowa. A poza tym jeżdżę pociągami, kiedy jadę na urlop.

— I nie denerwuje pana to, że pociągi jeżdżą niepunktualnie, że są przepełnione, brudne?

— To mnie denerwuje nie jako pasażera, ale jako kolejarza. Przecież mnie, jako maszynistę cieszy, kiedy dowiozę pasażerów cało, zdrowo i punktualnie, kiedy oni są zadowoleni i wychodzą z dworca uśmiechnięci, a nie ziorzcząc kolei i kolejarzom.

Uważam poza tym, chociaż to się może moim władcom nie podobać, że skoro kolei sprzedają bilet pasażerowi, to zawarła z nim umowę i musi się z tej umowy wywiązać, czyli zapewnić pasażerowi możliwość dojeżdżania do celu podróży wygodnie i bezpiecznie oraz o czasie. A kolei tego nie robi.

— Kiedy jeździ pan pociągami jako pasażer i pociąg się spóźnia, kogo pyta pan o przyczynę, konduktora?

— Nie, bo on nie może o tym wiedzieć. Wie maszynista, bo ma radiotelefon i może się porozumieć z najbliższą stacją. Jeśli więc mam taką możliwość, to pytam albo maszynistę, albo dyżurnego ruchu na najbliższej stacji.

— Powiedział pan, że kolei teraz przewozi więcej niż dawniej, to prawda, ale z tego wcale nie wynika, że pociągi maszą odjeżdżać z dworca już spóźnione, a także, iż wagony muszą być brudne i poniszczony.

— To prawda, ale czy to tylko wina kolei, że wagony są poniszczony? Ze są brudne? Wagonów jest mało i nie zawsze zdąży się je sprzątnąć, nim ponownie wyruszą w drogę. To samo jest z lokomotywami. Brakuje do nich części zamiennych, są więc nadmiernie eksploatowane. Jeżdżę na przykład teraz inną lokomotywą, bo moja jest w zakładach naprawczych.

Odbyla się u nas na Olechowie niedawno konferencja zakładowa partyjna i tam mówiliśmy o tych sprawach. Ja nie mogę jakoś zrozumieć, dlaczego tak się dzieje, że w Łodzi jest „Elta”, która produkuje aparaty niskiego i wysokiego napięcia do lokomotyw elektrycznych, a my tu, też w Łodzi, tej aparatury nie mamy. Nie mogę też zrozumieć, dlaczego rozgrzebano Olechów, rozpoczęto modernizację węzła i następnie zabrano stąd przedsiębiorstwa do innych robót. Nie skończono przez to na przykład budowy przychodni lekarskiej, do której są już importowane urządzenia, stoją gdzieś schowane i, czekają na lepsze czasy.

Przecież łódzki węzeł kolejowy ma ogromne znaczenie dla całego systemu kolei. A tego jakoś się nie widzi. Nie wiem, dlaczego.

— Czy nie uważa pan, że Łódź w ogóle jakoś źle traktuje się w przygotowywanych rozkładach jazdy? Ostatnio znów wycofano jakiś pociąg.

— To już zależy od władz kolejowych i miasta. Nie powinien się na to godzić. Łódź powinna mieć dogodne połączenia ze wszystkimi atrakcyjnymi miejscowościami wypoczynkowymi i innymi, latem i zimą. Tu przecież pracują tysiące ludzi, którym należy się wygodny dojazd do miejsca wypoczynku. A jest to tym ważniejsze, że nie mamy połączeń lotniczych, a PKS niewiele pasażerów może przewieźć jednorazowo.

OCHRONA ŚRODOWISKA

W odludnych, północnych rejonach Norwegii zaczęły ginąć masowo ryby w jeziorach. Analiza wykazała, że woda zawiera znaczny procent rozcieńczonego kwasu siarkowego. Dotarł tam z odległości tysiąca kilometrów w chmurach, które powstały nad skupiskami przemysłowymi Europy i opadł z deszczem do jezior. Aby uratować 1 km kw. lustra wody, musiano wydać 400 tys. dolarów.

U nas nie ma już odludnych zakątków. U nas w ramach gratyfikacji płaci się symbolicznie kary za zatrucie, a wody i ryby ubywa z dnia na dzień. Glinie także karp, ta najważniejsza gospodarczo ryba wód słodkich, hodowana w Europie już od XIII wieku, gdy zatrucie najmniejszej rzeczki uderza natychmiast w hodowlę ryb w stawach; stawy hodowlane muszą być zasilane wodą bieżącą, inaczej bowiem by wyschły. I dlatego na pytanie postawione w tytule

pozostać polowa rybek, ćwierć, a nawet zero. A praca dziesiątków ludzi? A nawozy, azot, fosfor i potas, których wysypało się od 100 do 500 kg na ha? A woda amoniakalna, którą daje się przed wypuszczeniem małych rybek do stawu?

Zimą ryby i rybacy chcą przeżyć. Ale zaczyna się walka z gołoledzią, chlorki płyną jak rzeka i znowu ubywa 10 do 20 proc. ryb.

Wiosną rybacy czekają na słońce przeżywając strach, ile odłowią z zimochowów. To, co przetrwa, wyrasta w drugim roku na tzw. kroczi. Jeżeli wpuszcza się ich 500 sztuk na ha, to 10 proc. na pewno zginie. Aby nie dopuścić do dużych strat kroczi kapie się w roztworze soli lub innych medykamentów. Wybrane sztuki odsyła się do pracowni chorób ryb w Łodzi. Jeżeli okaże się, iż są bakterie, np. posocznica albo inne paskudztwo, trzeba kupić spirytus, rozcień-

produkcja wynosi 1,5 do 2 ton! Nie twierdzą jednak, że zawdzięczam to granulatowi. Granulat RKA, który wytwarza Bacutill w Dobryszycach i w Łowiczu, zawiera 25 proc. białka i składniki witaminowe. Jego współczynnik pokarmowy wynosi 2-3...

— Co to znaczy?

— To znaczy, że na 1 kg przyrostu karpia potrzeba od dwóch do trzech kilogramów granulatu. Ten sam współczynnik dla łubinu wynosi 5, a dla sorgo 6,5. Ale kilogram łubinu kosztuje 6 zł, natomiast kg granulatu — 10 zł. Weźmy prosty przykład. Mam w stawie 10 rybek po 5 kg, które karmione łubinem lub granulatem osiągną jesienią wagę 60 kg. Ale po drodze 6 mi zginie. Przy karmieniu granulatem strata jest o wiele większa...

Rozmawiając z innymi hodowcami upewniliem się, iż dyrektor ma rację. Granulat jest za duży i mniejsza ryba go nie weźmie. Ale Bacutill nie może robić drobnego, bo wtedy obniża wydajność produkcyjną! Z konieczności więc hodowcy robią ze śrut, z której powstał granulat, nową śrutę. I teraz nie wiadomo, ile witamin w tej śrucie pójdzie na dno, a ile do organizmu karpia. To prawda, że na granulacie ryby rosną lepiej, ale jeżeli on rozpuszcza się w ciągu 3 minut, to nie ma gwarancji, że ryba naję się do syta. Próbowano zadawać go bardziej nowocześnie, oszczędnie, w lejących blaszanych karmnikach. U wylotu leja jest drut z zastawką i jeśli ryba traci drut, pasza wysypuje się do wody małymi porcjami. Ale co z tego, kiedy teraz na zbiorniku siedzą już czaple, bo widzą duże zagęszczenie ryb i łowią jak cholera. A kaczki i łyski odpędzają ryby i same pożerają granulat.

Można by wysnuć z tego wniosek, iż samym wprowadzeniem nowych pasz nie zwiększy się produkcji karpia.

Jeśli ryb nie zabiorą czaple, nie pokaleczą ich rybołowy i rybitywy, albo nie wykosi całego stawu szurpak, który tam się dostał bez wiedzy człowieka, jeśli ryby nie usną lub nie zdechną od zanieczyszczeń, to odłowi się co trzeba dla Centrali Rybnej. Ale jak te wszystkie przeciwności się sprężną, to rybacy nie mają co dać. Specjalna uchwała rządowa mówi o roku 1985. A tymczasem jest tak:

W lipcu bieżącego roku w Piekarach koło Piątku, w połączonych stawach o powierzchni 10 ha zaczęło śnąć 180 tys. rybek jednogramowych, ponieważ mleczarnia spuściła ścieki do rzeki Moszcznicy. Zamiast ośmiu ton narybku odłowiono dwie tony.

Pokrzywnica, 52 ha stawów. Wyhodowano tam około 40 ton kroczków i przewieziono do sąsiedniego obiektu w Sypinie. W pierwszych dniach listopada pojawiła się w Moszcznicy biała woda. Zawiadomiono domniemanego sprawcę, którym są Zakłady Chemiczne „Organica-Argon” w Łodzi poprzez swoją placówkę w Strykowie. Uruchamia się Wydział Gospodarki Rolnej, Wydział Rolnictwa, Prokuraturę Wojewódzką. I co? I można się tylko zastanawiać, co w tamtych stawach przeżyje do wiosny. I ściągnąć karę. Mleczarnia w Gorzkowicach sumiennie płaci kary co roku, ale ryb nie ma.

Na jednym z obiektów było tak, że zmarnowano 20 ton ryb. Bacutill nie chciał ich przetrwać na mączkę. W tym wypadku prokurator winien dobrać się nie tylko do „truciciela”, lecz i do Bacutilla.

Trudno mówić o wzroście produkcji tam, gdzie większość prac wykonuje się w ciężkich warunkach, sposobami prymitywnymi. Nie tylko brakuje łodzi silnikowych, którymi można rozwoliz paszę i nawozy, ale nie ma też podstawowego sprzętu rybackiego, części zamiennych. Nie produkuje się już koparek Waryńskich, o długim wysięgu ramienia, które znakomicie sprawdzały się przy pogłębianiu stawów. Nie kupi się zwyczajnej łodzi rybackiej. Kiedyś stocznia w Uście robiła dobre, lekkie łodzie plastikowe. Ale Ustka woli robić kutry za 360 tysięcy, niż łodki za 17 tys. złotych. Obecnie tylko Państwowe Gospodarstwo Rybackie w Gdyni wypuszcza po kilka łodzi jeziorowych rocznie.

— Jak podnieść produkcję? — zastanawia się Stanisław Rożej. — Trzeba mieć się wszystkiego, co możliwe. Choćby poprzez podnoszenie

kwalifikacji pracowników i odpowiednie przeprowadzanie wszystkich zabiegów. Istotną jest tutaj modernizacja, remonty i odbudowa stawów. Dokonuje się tego najczęściej systemem gospodarczym, bo nie ma sprzętu ani chętnych do roboty przedsiębiorstw. Nie wolno dopuszczać do zarastania stawów, bo rośliny podwodne, rdost i moczarka, sprzyjają gwałtownemu parowaniu wody.

— A czy istnieje możliwość zwiększenia powierzchni stawów?

— Na nowe stawy w zasadzie nie ma miejsca. Ale istnieje szansa zwiększenia powierzchni w ramach powierzchni już ogroblonych. Jeśli z dwadzieści stawów zrobię pięć, to uzyskam więcej miejsca dzięki likwidacji zbędnych grabli i szerokich „pasów bezpieczeństwa”, które się pozostawia na wypadek wylewów. Tak zrobiłem np. w Klukach. Ale tam musiałem przesunąć koryto rzeki, wykupić część lasu, o ponadto do dziś procesuję się z chłopami, aby pozwolili wykopać rów odwadniający na ich polach, żeby woda nie zalewała im gruntów. Kiedy z dwadzieści stawów małych zrobię pięć dużych, to wystarczy mi do pracy pięć większych łodzi i nie muszę budować tak dużo młochów — urządek do doprowadzania i odprowadzania wody. Istnieje nadzieja, że w przyszłości uzyskam około 800 ha stawów nad rzeką Czarną, gdzie, być może, nie osiągną mnie zatrucia...

To cieszy. Ale te nowe stawy nie zrekompenzują ubytków. Wraz z rozwojem Belchatowskiego Okręgu Węglowego będzie się zwiększał potrzebny lej depresyjny, który wysysa wodę w promieniu kilkudziesięciu kilometrów. Wiele stawów pochłonie sama odkrywka, elektrownia oraz inwestycje towarzyszące. Rybacy jednak prowadzą hodowlę na terenach zagrożonych do ostatniej chwili.

A jeśli chodzi o zatrucia wody, to przedstawiciele przemysłu mówią beczelnie: „Po co hodujecie ryby w miejscach, gdzie wiadomo, że woda może być zatruta?” Myślę, że w ramach dyskusji nad Wytocznymi na VIII Zjazd, warto zatrzymać się ze szczególną uwagą przy sprawach dotyczących wyżywienia narodu. To dotyczy także naszego karpia. Zastanów się trzeba nad faktem, że np. tysiące wędkarzy z PZW potrafi robić wiele szumu wokół każdego zatrucia rzeki, a hodowcy pozostają w cieniu, bo jest ich mało, chociaż ich produkcja narazona bywa na straty w większym stopniu niż ryby rzeczne.

Warto się nad tym zastanowić także dlatego, że według planów Państwowe Gospodarstwo Rybackie — Łódź ma stracić do roku 1985 około 1.200 ha stawów, czyli połowę posiadanej powierzchni. I już je traci. Przed laty gospodarstwo dawało po 1.700 ton karpia. W bieżącym roku odłowiono 470 ton.

Ale to niepowodzenie dosięgnęło nie tylko PGR — Łódź. Powiedzmy sobie szczerze: przed laty Polska eksportowała karpia. Odcinając eksport, państwowe gospodarstwo rybackie i hodowcy prywatni dawali w okresie przedświątecznym do Centrali Rybnej od 10 do 13 tys. ton karpia. W tym roku odłowiono zaledwie połowę tego i trzeba było importować 3,5 tys. ton karpia z Jugosławii.

W rybactwo godzi nie tylko przemysł. Rybactwo zagrożone jest przez rolnictwo, warzywnictwo i ogrodnictwo. Zabiegaj sanitarno w oborach i chlewniach, zwalczanie chwastów, stonki itp. Innymi słowy: detergenty, herbicydy, fenol, wielka chemizacja.

To, co się zdarzyło w Norwegii, zostało ogłoszone w roku 1976 na międzynarodowym kongresie hydrobiologów w Warszawie. Wyciągnięto wówczas wniosek, że ludzie na świecie bardzo pragną budować, lecz nie bardzo chcą wiedzieć, skąd się bierze to, co jedzą.

Na ostatnim posiedzeniu FAO stwierdzono, że jeśli nie zmienią się profile rozwoju gospodarczego poprzez zieloną rewolucję, to kryzys żywnościowy stanie się potencjalnie groźniejszy dla świata, niż kryzys energetyczny.

Znakomity profesor Szczepan Pieniążek uważa, że aby uzyskać mnogość czystych, zdrowych owoców w sadach, trzeba je opryskiwać trziesięci razy rocznie. Profesor ma niewątpliwie rację, tylko, że w wyniku tych zabiegów będziemy mieli jabłka na choince, a karpia pod choinką. W atlasie zoologicznym...



Dyrektor Państwowego Gospodarstwa Rybackiego — Łódź, Stanisław Rożej, odpowiada, że karp, który do niedawna stanowił dwie trzecie odławianych ryb słodkowodnych, jest oczywiście w wodzie, ale trzeba go bardzo uważnie szukać.

I coraz trudniej znaleźć. Tym bardziej, że dziś nie można już powiedzieć: Zdrow jak ryba. Namnożyło się tyle paszoków, że karpia nęka więcej chorób niż człowieka, a skorowidz chorób obejmuje białe sześć stron podrecznika.

Drób nadszła się do konsumpcji po kilku tygodniach, króliki po kilkunastu, świnię i bydło rzeźne — po roku. Karp jest najtrudniejszym w hodowli zwierzęciem użytkowym, gdyż do konsumpcji nadaje się dopiero w trzecim roku życia. Ale droga od zająłki do pełnowartościowej ryby usiana jest całą masą niebezpieczeństw.

Gdybyśmy za początek drogi obalić kurę zamiast jajka, to mamy tutaj ikrzykę (matkę) i mleczaka (samca), które fachowo nazywają się tarlakami. Do tarcia używa się przeważnie dwóch samców i jednej samicy, co sprzyja większej pobudliwości płciowej i gwarantuje lepsze zapłodnienie. Tarło odbywa się w maju lub czerwcu na tarliskach — płytkich stawach, odpowiednio wynawożonych i porośniętych bujną słodką trawą. Przede wszystkim musi być odpowiednia temperatura, od 18 do 28 stopni Celsjusza, bo my także lubimy ciepło, unikając w zasadzie przygód w zimnym plenerze. Tarlaki potrzebują również dużo słońca, pogody bezwietrznej i zaciśza, a to ostatnie coraz trudniej znaleźć na tym wspaniałym, zwirowanym świecie. Nikt nie wie dokładnie, co się dzieje z ikra wskutek przelotów na niskim pułapie odrzutów, zwłaszcza w momencie przekraczania bariery dźwięku, ale na pewno wpływa to na nią bardzo szkodliwie.

Jeżeli jednak wszystkie warunki zostaną doehowane, to ikrzyca, której używa się do rozplodu od 4 do 10 lat, daje 100.000 ziarna ikry na każdy kilogram wagi swego ciała, a więc pięciokilogramowa może dać pół miliona ikry. Wtedy tarlaki usuwa się z tarliska, aby nie postrzępali rozrzuconej po trawie ikry, gdyż ta, opadając na dno, ulega zniszczeniu.

I teraz wynika sprawa paradoksalna. Natura jak gdyby broniła się przed życiem, i to jest nieszczęściem zawodowym rybaków, bo tylko mały procent ikry ma szansę rozwoju i przeżycia. Przede wszystkim część ikry pleśnieje w wodzie i ginie, reszty dopełnia drapieżny zooplankton albo gwałtowne obniżenie się temperatury. Albo to, że w pobliżu kilkadziesiąt obiektów urządziło sobie pranie wylewając mydliny do rzeki.

W połowie lipca dokonuje się pierwszej przesadki. Odławia się małe rybki, jeszcze z wórczkami żółtkowymi i przesadza do większych stawów. Jest to bardzo żmudna robota. Liczy się rybki według średniej ilości zawartej w szklance wody. Zakładając, że na 1 ha wpuszcza się 100 tys. rybek, to na drugą przesadkę, do jeszcze większych stawów, odłowi się połowę, bo reszta zginie. Z tego, zanim lesienią rybki osiągną wagę od 10 do 60 gram, zginie około 30 proc. Jeżeli bowiem lato będzie suche, a staw nie ma dopływu, to woda paruje na 1 ha z szybkością litra na sekundę. Za mało deszczu — sucha. Za dużo deszczu — niedobrze, bo za mało słońca. Jak z tego wynika, z olbrzymiej ilości złożonej na wiosnę ikry w zimochowach może

żyć w wodzie z detreomocyną, przygotować półautomatyczne strzykawki, dziesiątki ludzi i zaszczerpić kilkadziesiąt tysięcy kroczków. Jeden pracownik szczepi kilka tysięcy dziennie, wpuszczając antybiotyki do jamy otrzewnej ryby. Człowiek pobiera go co osiem godzin, karp tylko raz, więc całkowitej gwarancji na wyzdrowienie nie ma.

Wreszcie w trzecim roku mamy rybę handlową o wadze od 0,5 do 1,5 kg. Ważne, aby miała jak najmniejszą głowę i jak największe wygrubienie za głową. I żeby była świeża. Liczą się więc odległości od stawu do sklepu. Dlatego też istnieje coś takiego, jak Państwowe Gospodarstwo Rybackie — Łódź. W jego skład wchodzi pięć zakładów rybackich: Byliny, Łyszkowice, Kluki, Psary, Dziepół. Zakłady te mają 33 obiekty rybackie, których stawy o powierzchni ponad 2.400 ha znajdują się na terenie województw: piotrkowskiego, częstochowskiego, skierniewickiego, plockiego, radomskiego, łódzkiego i sieradzkiego.

Stanisław Rożej, który po studiach rozpoczął praktykę w 1952 roku gdzieś za Kartuzami, ma za sobą nieprzespane noce, udręki, i kłopoty związane z produkcją i wie, co to jest życie na odludziu. Dlatego też, pragnąc zatrzymać ludzi musi budować mieszkaniec i ludzki gospodarcze. We własnym zakresie, bo dla dużych przedsiębiorstw budowlanych takie domki to za mały przerób. W ubiegłym roku wzniesiono piękny jak dach dwurodzinny domek w Cieszanowicach, na ukończeniu jest budynek mieszkalny w Przerębie.

Szczęściem i nieszczęściem gospodarstw rybackich jest to, że prowadzą one produkcję związaną. Uprawiają ziemię, hodują kaczki i bydlę rzeźne. Np. ferma w Klukach daje co roku od 100 do 150 tys. psiskat, a obory w Klukach i Bylinach produkują ponad 200 ton żywca wolowego.

Karp kojarzy nam się z choinką, ale na choince nie rośnie. Nazywa się go rybą wszystkich, lecz wybredny jest jak cholera i wybiera na wadze, gdy dobrze je, głównie zboża. Gospodarstwa rybackie produkują własne zboża, ale... muszą sprzedać je państwu. Z odległych gospodarstw odwozi się zboże do punktów skupu, a później każde gospodarstwo otrzymuje przydział na paszę. Jest tego 2-3 tys. ton, jeździ się od nowa, np. z Łyszkowic koło Łowicza do Teresina pod Żyrardowem, a transportu nie ma...

— Nasz karp nie jest czysty gatunkowo — mówi Rożej. — Podobno duże zastęgi w hodowli położył Kluk, dawny właściciel majątku Kluki, według niektórych — kardynał. Potem wszystko się wymieszało. Nasz lustrzeń może być uluszczone za mocno, może mieć łuski przez środek, więcowe wokół głowy, albo jest goły. Ale z tego ostatniego też trzeba zeszkrobać łuski ze względu na smak. Z tym, że smak mięsa to przede wszystkim kwestia pasz. My zadajemy pasze roślinne: jęczmień, kukurydza, sorgo i żyto.

— Jeden z hodowców prywatnych, pan Miotkiewicz, oświadczył w telewizji, że „biera” z ha 800 kg karpia, przy średniej krajowej 400 kg. Bardzo sobie chwalił granulaty, które ponoć dają szybkie przyrosty.

— Ja na niektórych obiektach także mam po 400 kg z ha. Ale mam też takie stawy, gdzie



Foto: Archiwum

— Jakby pan określił bliżej swoje obowiązki wynikające z pełnienia swoich funkcji?

— Wymaga to parę słów wprowadzenia. Zgodnie ze statutem Polskiego Związku Łowieckiego, ogniwem najniższym, a jednocześnie najważniejszym w organizacji łowiecstwa w naszym kraju, są koła łowieckie, które skupiają myśliwych. Koło łowieckie dzierżawi teren, prowadzi gospodarkę łowiecką, a więc hodowlę i ochronę zwierząt, wreszcie pozyskuje zwierzęta na drodze polowań czy odłowów. Właśnie tę pracę kół łowieckich nadzoruję jako Łowczy Wojewódzki w zasadzie jest to moje działanie w terenie, w polu, nawet w czasie polowań. Działalność moja na rzecz kół — obok kontroli — jest przede wszystkim pracą instruktażowo-szkoleniową, mającą na celu osiągnięcie przez koła najlepszych wyników w łowiecstwie, zgodnie z potrzebami gospodarki narodowej i wymogami ochrony przyrody, polega przede wszystkim na hodowli i ochronie zwierząt. Natomiast myślistwo jest jakby wynagrodzeniem za pracę włożoną w gospodarkę łowiecką i wykonywane jest za pomocą broni palnej, taka jest prawda. Można tę różnicę wyjaśnić jeszcze inaczej: koła łowieckie w pewnych okresach polują — i to

wraca do domu bez oddania strzału. To jest właśnie łowiecstwo całą gębą...

— Jak by więc określić łowiecstwo?

— Jako pasję, właśnie pasję. Zamiłowanie do łowów, zostało nam po naszych przodkach, dla których często było warunkiem życia, warunkiem przetrwania. Mnie osobście, wcale nie razi, jeżeli ktoś mówi o myśliwych, że pokutują w nich jakieś atawistyczne cechy czy skłonności, sądzę nawet, że jest w tym sporo prawdy.

— Łowiecstwo, myślistwo — czy są to pojęcia równoznaczne?

— Nie. Łowiecstwo, mówiąc najprościej w rozumieniu ustawy, oznacza planowe gospodarowanie zwierzętami, zgodnie z potrzebami gospodarki narodowej i wymogami ochrony przyrody, polega przede wszystkim na hodowli i ochronie zwierząt. Natomiast myślistwo jest jakby wynagrodzeniem za pracę włożoną w gospodarkę łowiecką i wykonywane jest za pomocą broni palnej, taka jest prawda. Można tę różnicę wyjaśnić jeszcze inaczej: koła łowieckie w pewnych okresach polują — i to

Dlaczego o tym mówię, dlaczego użyłem tak drastycznego porównania? Proszę mi darować, ale taka jest właśnie obiektywna prawda — świat, nasz kraj potrzebuje coraz więcej artykułów żywnościowych, a zwierzęta były i jest takim artykułem, czy to się komu podoba, czy nie.

Jest i druga strona medalu. Jeżeli niektórzy sądzą, że zwierzęta są tylko ozdobą naszego pejzażu, naszej przyrody, to się głęboko mylą. Dla rolnika, który ma ziemię pod lasem, wcale nie jest obojętne ile dzików ten las zamieszkuje i ile zajęcy bytuje na polach. Dzik czyni szkody w uprawach owsa, ziemniaków. Zajęcy potrafią zniszczyć całe hektary młodych drzew owocowych, czego najlepszym przykładem jest ostatnia zima. Ktoś więc musi czuwać nad ilością zwierząt na naszych polach i w naszych lasach, ktoś musi ten obowiązek wziąć na siebie — wzięli go myśliwi i wykonują go dobrze, z troską o przyszłość, opierając plany pozyskania zwierząt na rozpoznaniu o jej stanie ilościowym. Służę przykładami: w roku 1978 mieliśmy w kraju około 40.000 jeleni, pozyskano tego zwierza 9.000 sztuk. Z 2.100.000 zajęcy odstrzelono i odłowiono 305.000, z 2.900.000 kuropatw odstrzelono i odłowiono 573.000 — z 820.000 bażantów odstrzelono 175.000. W zasadzie strzela się u nas około 20 proc. stanu wyjściowego, a na pod-



mrozu i głodu, a ginęły pod śniegiem, który zasypywał całe stadka, tak jak lawina zasypuje czasem ludzi. Stąd wielkie straty. W województwie łódzkim oblicza się, że kuropatw zginęło około 80 proc., zajęcy około 50 proc., sarn około 50 proc. W czasie zimy stulecia straty były mniejsze, kuropatw zginęło wtedy około 40 proc., zajęcy i sarn około 30 proc. Najboleśniej jest fakt, że połowa poniesionych strat w czasie ostatniej zimy jest dziełem kłusowników i waleśniaków się psów. Byłe kundel mógł dogonić osłabionego zająca, czy sarnę, nie mówiąc już o kuropatwach, które często nie były w stanie wzbiec się w powietrze. Ptactwo szukało również żeru w pobliżu domostw, a często znajdowało tam żer... w pułapkach — wyniki, sidi.

— Co się czyni, aby te straty odrobić?

— Nie polujemy w tym roku na kuropatwy, ograniczamy bardzo polowania na zające, spróbujemy bażantów, które przeżywały najszczęśliwiej i wśród których straty są najmniejsze. W najbliższych latach udziałem myśliwych będzie bardziej łowiecstwo niż myślistwo. Mam nadzieję, że za parę lat odzyskamy stan poprzedni.

— Jesteśmy w środku nowej zimy...

— Tak, i jesteśmy do niej lepiej przygotowani, bo mamy za sobą doświadczenia ubiegłoroczne. Koła mają przygotowaną karmę, budki na polach, pańniki w lasach i plan działań nadzwyczajnych na wypadek sytuacji z roku poprzedniego.

— Czy nie sądzi pan, że dobre imię łowiecstwa cierpi często z powodu działalności niektórych myśliwych, działalności tak różnej od tej, o której pan nam mówił?

— Nie chcę twierdzić, że wszyscy myśliwi spełniają wymogi etyki łowieckiej. Są wśród nas ludzie, którzy do łowiecstwa trafili przypadkowo. Ale rośnie dyscyplina w kołach, coraz lepiej pracują Sady Koleżeńskie w ramach naszej organizacji i rokrocznie niewielki procent jej członków opuszcza szeregi. Są to właśnie „sportowcy”, którzy za wszelką cenę dążą do rekordów, nie bacząc często na bezpieczeństwo polowań. Tych „sportowców” na własny użytek nazywamy „mięsiarzami” — każdy cel jest dla nich dobry jeżeli daje zysk w postaci zająca, sarny, dzika. Można na przykład karmić jedną ręką, a drugą strzelać, co faktycznie niewiele różni się od kłusownictwa. Kiedy to dostrzeżemy, tepimy w sposób bezwzględny. Są to jednak — pragnę to podkreślić — coraz rzadsze przypadki i nie wolno z tych powodów patrzeć na łowiecstwo z uprzedzeniem, bowiem w najlepszej rodzinie trafia się czasem synalek — chuligan...

— Czy PZŁ nie myśli o weryfikacji swoich członków?

— Jeżeli ma pan na myśli jakąś jednorazową akcję, to nie. Natomiast, jeżeli będziemy mówić o wzroście dyscypliny w kołach, o zwiększających się wciąż obowiązkach myśliwych w zakresie hodowli, pracy własnej na rzecz koła, to tak. Dyscyplina, praca, obowiązki, niektórym z myśliwych nie bardzo się podobają. Ci — chciał nie chciał — z własnej woli opuszczają koła, bo mają przeciw sobie opinie kolegów myśliwych, którzy polują z zamiłowaniem. Jeżeli wolno mi wróżyć, najbliższe lata, które są przed nami, w sposób naturalny dokonają selekcji i weryfikacji. Jak już mówiłem, będziemy więcej hodować niż polować, a to pseudomyślistwem na rękę nie będzie...

— Czego życzyć panu i myśliwym na zakończenie naszej rozmowy?

— Aby przyroda, nie była, tak jak ubiegłej zimy, silniejsza od nas.

— Jak się życzy myśliwym?

— Mamy łowieckie pozdrowienie, wywodzi się ono z historii łowiecstwa w naszym kraju. Jest nim: Darzbór.

— Darzbór, panie łowczy.

— Dziękuję.

Rozmawiał:
EDWARD KOPCZYŃSKI

o łowiecstwie i myślistwie

Rozmowa z EDWARDEM GWÓZDZIEM,
Łowczym Wojewódzkim

jest myślistwo, te same koła przez cały rok troszczą się o dobro zwierzęt na swoim terenie — i to jest łowiecstwo.

— Niby wszystko w porządku, ale opinia społeczna jest często inna, mamy zdecydowanych przeciwników strzelania do zwierząt.

— Tak, wiem o tym i winę za ten stan rzeczy ponoszą — niestety — często ludzie, którzy zabierają głos na ten temat, a nie mają w nim istotnego rozeznania, posługują się więc często sloganami. Kierowanie się uczuciem, sentymentem, jest piękne, czytelne czy słuchacz bardzo to lubi, ale nie może to lub nie powinno przysłać obiektywnej prawdy... A prawdą jest fakt, że tylko dzięki PZŁ, dzięki myśliwym, ilość zwierząt na naszych polach i w naszych lasach nie maleje, a wciąż się powiększa. Myśliwi, podkreślam — w imię własnych interesów — czego się nie wstydzimy, dają poprzez prawidłową gospodarkę hodowlaną do stałego zwiększania liczby zwierząt. Przykład. Po wojnie bażant należał do rzadkich ptaków, dzisiaj stan tego ptaka w kraju szacuje się na około 820.000 sztuk. Weźmy losie. Zwierz ten był bliski wyginiecia, obecnie w kraju żyje około 5.000 sztuk... Ci, którzy ronią krokodyla czy, którzy zezem patrzą na myśliwych, obliżają palce spożywając udko dzikiej kaczki lub comber zająca w sosie ze śmietaną. Ci sami wreszcie zupełnie obojętnie przyjmują fakt, że w najbardziej doskonałych i nowoczesnych reżeniach prowadzi się codziennie tysiące sztuk bydła pod elektryczne noże, które je zabijają. Zwierzęta w reżeniach wiedzą o tym, co je czeka, wyczuwają to instynktem, patrzą na los swoich poprzedników. Tymczasem spotkanie myśliwego ze zwierzem jest zaskoczeniem dla jednej i drugiej strony, trwa kilka czy kilkanaście sekund, strzał kończy sprawę.

kreślenie zasługuje fakt, że w innych krajach europejskich, przy podobnych stanach, strzela się około 40 proc. — jest więc to w naszych poczynaniach myśliwskich wysoki umiar.

— Jeżeli wydatki finansowe poszczególnych myśliwych — o czym mówił pan przedtem — są stosunkowo niskie, to skąd biorą się środki na hodowlę?

— Należy wyjaśnić, że w naszym kraju zwierzęta w stanie wolnym stanowią własność państwa. Po jej pozyskaniu stanowi własność koła łowieckiego i stąd biorą się dodatkowe środki na hodowlę. Dalej — w jednym kole mogą to być również polowania dewizowe, w innym odłowy, a w każdym kole — co należy podkreślić — wartość niewymierną, a bardzo wysoką stanowi praca społeczna myśliwych na rzecz hodowli.

— W ostatnich dziesięciu latach przeżyliśmy dwie ciężkie zimy, pierwszą na przełomie lat 1969/70, którą przeszła do naszych wspomnień jako zima stulecia, i ostatnią — którą doskonale pamiętamy. Wiadomo, że zwierzęta w Polsce poniosły ciężkie straty. Co na ten temat mógłby pan powiedzieć?

— Przyznam, że czekałem na to pytanie, bo właśnie tutaj mamy najlepszy przykład pracy kół łowieckich, myśliwych na rzecz dobra zwierząt. Myśliwi, kiedy tylko spostrzegli sytuację zwierząt — samorzutnie, bez nakazów, zarządzeń zaniedbali polowania, i nieśli zwierzęta swą pomoc codziennie w miarę sił i możliwości — bo niejednokrotnie na teren łowisk z powodu nieprzejezdnych dróg nie można było dostać. Myśliwi dowozili karmę na pola i do lasów, tepili kłusownictwo, tepili niebezpieczne psy, szkodniki. Ci, którzy ronią ży nad losem naszych zwierząt, siedzieli w ciepłych domach, myśliwi natomiast ratowali to, co można było jeszcze uratować...

Wypada podkreślić, że nie wszyscy patrzą na łowiecstwo z podejrzliwością, mamy sprzymierzeńców, mamy świetną młodzież w szkołach, mamy sprzymierzeńców wśród nauczycieli, wśród rolników, sołtysów, pracowników gmin, wśród pracowników MO i ORMO. Konkretne przykłady to naczelnicy Gmin w Nowosolnej, Ozorkowie, Zgierz, sołtysi ze wsi Modlna, Ślasków, Wypychów, Grabieniec, młodzież i dyrektorzy szkół zbiorczych w Modlnie, Dzierżynie, Głecinie, Piątkowisku, Rolnicy, tacy jak Zofia Lewik z Nowosolnej, Zbigniew Kaczmarek z Jedlicza, Włodzimierz Długolecki z Dmosina, Jan Górecki z Górki Pańickiej i setki innych ludzi.

— Na czym polegał zimowy dramat zwierząt?

— Zima stulecia trwała pięć miesięcy, a ostatnia — tak naprawdę — tylko dwa miesiące, ale jej skutki były dotkliwsze. Przyczyny? W czasie ostatniej zimy nawet drogi pierwszej kategorii były nieprzejezdne. W dniach od 18 do 23 lutego w całym byłym województwie łódzkim nie można było dostać się do obwodów łowieckich z powodu zawałów, ostrych mrozów, zasp śnieżnych. W tych dniach zginęło najwięcej zwierząt, szczególnie kuropatw. Te ostatnie nie ginęły nawet z

— Użył pan słowa pasja. Czy łowiecstwo nie jest po prostu sportem?

— Po to, aby być sprawnym i w polu i w lesie myśliwi ćwiczą strzelanie. W Nowosolnej, pod Łodzią, mamy strzelnicę myśliwską, trenujemy tam, odbywamy zawody. Ta część naszej łowieckiej edukacji jest sportem. Podkreślam — tylko ta część. Niektórzy z członków PZŁ uprawiają obok myślistwa sport strzelecki, wszyscy doskonale znamy sukcesy światowe w tej dziedzinie Kiszkiurny czy Smelczyńskiego — natomiast myśliwi nigdy nie mówią, że uprawiają sport, mówią, że polują, po prostu polują. Sport łączy się w naszym pojęciu ze współzawodnictwem, z dążeniem do rekordu, do zwycięstwa, często nawet za wszelką cenę, mam tu na myśli środki dopingujące, o których coraz częściej się słyszy. W myślistwie jest inaczej, polując wyrażamy w sobie kondycję psychofizyczną, usprawniamy organizm, ale nie jest to dążenie do rekordu, w każdym razie nie rekord jest tu najważniejszy, lecz łowiecka przygoda. Proszę sobie wyobrazić, że podchodzi pan ryczącego jelenia, chodzą pan z nim nieraz i tydzień, zanim do tej chwili doszło. Podchodzi go pan teraz, słysząc bicie własnego serca... Inna sytuacja — kilka nocy spędził pan na ambonie w lesie, a dziki, które dotąd zerowały tu wytrwale, wyniosły się akurat gdzieś indziej. Zaskakuje pan o świcie tokującego guszcza, słucha pan jego pieśni miłosnej... i



chyba najbardziej bezpieczne miejsce na Ziemi, gdyż międzynarodowe przepisy zabraniają prowadzenia tu doświadczeń militarnych. Udostępniono natomiast Antarktydę naukowcom. Prawo do prowadzenia badań mają jednak tylko te państwa, które posiadają już pewien dorobek i doświadczenie. Naukowy Komitet Badań Antarktycznych (SCAR) skrupulatnie przestrzega, aby badania prowadzili przedstawiciele państw członkowskich, zaś w swoje szeregi SCAR przyjmuje tylko posiadaczy stałych stacji na VI kontynencie. Zapewnia to bowiem ciągłość i wyrównany poziom badań. Jeśli chcemy w przyszłości korzystać z bogactw Antarktydy musimy być obecni przy jej poznawaniu.

26 lutego 1977 r. o godz. 4.25 czasu warszawskiego radiostacja podała zwizję komunikat:

Tu stacja antarktyczna im. Henryka Arctowskiego Polskiej Akademii Nauk na wyspie King George w Archipelagu Sztetlandów Południowych, położona na 62 stopniu 10 minut szerokości geograficznej południowej i 58 stopniu 28 minut 7 sekund długości zachodniej. Stacja im. Arctowskiego rozpoczęła swoją działalność dziś o godz. 3.25 czasu Greenwich.

Otwierając własną stację Polska stała się 13 członkiem SCAR. Tym razem trzynastka okazała się szczęśliwa. Mamy słuszny powód do dumy, gdyż po Związku Radzieckim Polska jest jedynym członkiem tej organizacji z krajów demokracji ludowej, uprawnionym do prowadzenia badań na VI kontynencie. Łodzie zimyjący na Antarktydzie widzieli jak powstawała stacja.

Całość sprzętu, urządzeń badawczych przywiozły statki „Dalmor” i „Zabrze”. Stację budowano w bliskawicznym tempie, pracując po 18 godzin na dobę, w prawdziwym wysiłku z przyrodą. W lutym 1977 r. postawiono budynek mieszkalny z pokojami dla członków ekspedycji, jadalnią, sauną, magazynami. Obok pracowała własna elektrownia i ulokowano laboratorium badawcze: biologiczne i geograficzne. Ostatnio przybyły stacji mały hotelik, gdyż okazało się, że zagłada tu coraz więcej gości.

Wszystko to zostało umieszczone na wyspie, o której łodzie mówią, że jest piękna. I trzeba im wierzyć, bo ilu z nas wie, jak wygląda naprawdę Antarktyda?

Wojciech Kittel do dziś nie może zapomnieć widoku wyspy oglądanej po raz pierwszy z pokładu statku. Widział niewysokie szczyty poki, leżące w słońcu, mieniące się w słońcu spływające z gór jeziora lodowca i ciężkie granatowe chmury.

Wyspa King George pokryta jest częściowo wulkanami, ma obszar 1 x 2 km kw. odkrytej przestrzeni; reszta to lodowce lub wody. Na nieoblodzonym pasie ciągnącym się wśród wybrzeża — wspomina Kazimierz Krajewski można spotkać



KONTYNENT NADZIEI

mchy i porosty. W lecie temperatura sięga plus 7 stopni w ciągu dnia, natomiast w nocy spada poniżej zera. Zimą mrozy dochodzą do -27 stopni. Jednakże nie mroz dają się najbardziej we znaki — takie tem-

porwał do morza olbrzymi namiot, pozostawiając na lodzie nagusienkiego polarnika, który właśnie się przebrał. Miał szczęście. Gdyby wiatr zaplątał go w płótno namiotu i zniósł do wody, pewnie nigdy już



Foto: W. Kittel

peratury występują również w Polsce — ale nagle i porywiste wiatry, zrywające się dosłownie w ciągu minuty.

Wiatr jest groźnym przeciwnikiem, potrafi złamać maszty, dachy, zrywać linie elektryczne. Pewnego dnia

nie włożyłby przygotowanego ubrania.

Roślinność na wyspie jest uboga, tereny pokryte lodem robią jednak urzekające wrażenie. — *Lód nie jest wcale biały — twierdzi doktor Dutkiewicz — jest wręcz kolorowy, mie-*

ni się różnymi kolorami. Niesamowite wrażenie robi też widział po raz pierwszy góra lodowa. Olbrzymie, długości około 300 m i wysokie na 50 m pudło lodowe. Tzw. „góry stołowe” imponują swą wielkością, zaś „góry zamkowe” zdumiewają fantazyjnymi kształtami, przypominającymi do złudzenia bajkowe budowle.

Okazuje się więc, że można budować zamki na lodzie.

(A swoją drogą ciekawe skąd się wzięło to popularne w Polsce powiedzenie, nawiązujące skojarzenia z Antarktydą).

Kazimierz Krajewski był z kolei olśniony światłem i przejrzystością powietrza. Podobne można spotkać w tropikach i na pustyniach. I te białe noce, które pozwalały pracować do drugiej w nocy, nie dawały natomiast zasnąć. Oblicze, geograf, dr Krajewskiego walczyło tu z obliczem fotografika, gdyż owe niespodzianki świetne bynajmniej nie ułatwiała pracy z aparatem fotograficznym. Znakomite fotografie dr Krajewskiego z wyspy King George można jeszcze oglądać na wystawie w Klubie Uniwersyteckim.

Po wyspie można było chodzić godzinami i oglądać tylko własne ślady. Nie było tu ludzi, ale za to do stałych mieszkańców należało kilkadziesiąt tysięcy pingwinów.

O pingwinach można słuchać nieskończenie. Wojciech Kittel twierdzi, że nie sposób oderwać oczu od pływających ptaków, które pływają przy pomocy skrzydeł (inaczej niż np. kaczki).

Pingwiny wyskakują na brzeg z przezroczystej wody dosłownie jak małe torpedy. Otrępią piórka i pędzą do swojego gniazda, aby nakarmić młode. Ciągają za sobą cały sznur młodzieży i sąsiadów, które przeganiają po drodze. Wrzask jest przy tym niesamowity. Kolonie pingwinów liczą do 50 tys. ptaków. Trudno więc mówić o antarktycznej ciszy. A ileż cwaniactwa wykazują pingwiny budując gniazda! Wzajemnie kradną sobie budulec — małe kamienie, których coraz mniej na wyspie.

Trudno wprost uwierzyć, ale tym sympatycznym ptakom zagrażają... turyści. Coraz częściej wycieczki, głównie Amerykanów, zakłócają spokój pingwinom. Turyści bez przerwy się z nimi fotografują i na dodatek zabierają na pamiątkę ptasie jaja. Skutek jest taki, że kolonie pingwinów raptownie się zmniejszają.

Z troską mówi się o tym na poważnych konferencjach. Polacy zaś wzięli się na sposób i ogłosili teren kolonii pingwinów w pobliżu stacji za rezerwat.

Na tej oto wyspie łodzie spędzili długą polarną zimę. Z dziennika L. Dutkiewicza wyłania się obraz codziennego antarktycznego dnia. Porządek wyznaczały godziny pacy i posiłków. O godz. 8 śniadanie, o 13 — obiad, o 19 — kolacja. Na posilki stawali się wszyscy. Nieobecność oznaczała chorobę, lub — co gorsze — nieszczęśliwy wypadek. Wzorem górskich schronisk założono księgę, w której wpisywano godziny i miejsce pobytu. Pracą zajęty był dosłownie cały dzień. Rano zbierano materiały, przeprowadzano pomiary, a po południu pracowano w laboratorium.

Jak na trudne warunki polarne, zapewniono ekspedycji znakomite wyżywienie, filmy, płytę muzyczną, pocztę, i prasę przysyłano dalekopisem.

Po pewnym czasie obejrzano już wszystkie filmy, przesłuchano płyty, przeczytano książki. Pozostawała telefoniczna łączność z krajem. Nie wszyscy jednak chcieli rozmawiać. Ball się wzruszenia, peszyli ich do świadomości, że słów skierowanych do najbliższych, słucha w eterze wiele osób. Byli jednak i tacy, którzy bez żadnego skrupułu gawędzili i 30 minut. Rozmówcy zatajali jednak smutne wiadomości. Ukrywano przed polarnikami choroby i wypadki w rodzinach, a ci znów nie skarżyli się na nostalgię.

Szukano środków zaradczych. Celebrowano uroczyste wszystkie święta państwowe, a także imieniny członków ekspedycji. Solenizanci otrzymywali prezenty wykonane własnoręcznie przez kolegów. Im dowcipniejsze, tym bardziej cenne. Radiotelegrafista obsługujący radiostację „Mewa” otrzymał kiedyś w prezencie żywą mewę, a Leopold Dutkiewicz starannie przechowuje książkę adresową napisaną na kawałku prześcieradła.

Szczególnie uroczyste obchodzono na Antarktydzie święta Bożego Narodzenia, Nowego Roku i Środka Zimy. Wigilię zimujący polarnicy spędzali we własnym gronie, podkre-

ślając wagność chwili uroczystym strojem, starannie przygotowaną kolacją złożoną z tradycyjnych dań, prezentami itp. Inaczej obchodzili wigilię Krzysztof Jazdzewski. Wraz z dwoma Polakami świętował na statku „Młodzieżowa”. Radziecy gospodarze potraktowali ich rarytasem nad rarytasy — solonym jesiotrem, a kolacji dopełnili własnoręcznie przyrządzone przez naszych rodaków antarktyczne ryby.

Wojciech Kittel i Kazimierz Krajewski spędzali wigilię na statku „Profesor Siedlecki”. Takiej kolacji złożonej z 15 dań, smakowitych ryb, zup, tortów, a przede wszystkim atmosfery wzruszenia od dawna nie pamiętają.

Dzień codzienny nie upływał jednak tak beztrosko. Właściwie na każdym kroku czuli się niebezpieczeństwem. Wojciech Kittel dobrze pamięta minuty grozy, jakie przeżył podczas nocnego polowania kryla. Popłynął małym kutrem przy pięknej pogodzie. Nagle, jak to na Antarktydzie, dosłownie w ciągu minuty zerwał się wiatr. Fala stawała się coraz wyższa, woda zalewała kuter. Wiatr nabierał z każdą sekundą szybkości. Polecono im natychmiast wracać. W tej sytuacji wejście na statek wymagało nieomal cyrkowej zręczności. Każdy nieostrożny ruch groził wpadnięciem do morza. Musiano korzystać z dźwigu i podnieść kuter w całości na pokład statku. Takich chwil naprawdę się nie zapomina.

Antarktyda pochłonęła niejedno życie. Wśród osób zmarłych z dala od kraju znajdują się także łodzie. lub ludzie związani z Łodzią. W styczniu minie rok od śmierci Włodzimierza Puchalskiego, filmowca, autora filmów przyrodniczych, którego samotny grób spoczywa zgodnie z jego życzeniem na King George. Sześć lat temu, nie na Antarktydzie, ale w lodach Islandii, zginął w wypadku docent Stefan Jewtuchowicz z Instytutu Geografii UL, człowiek ogromnej wiedzy i prostoty. Bolesne to straty, danina spłacana nauce i przyrodzie.

Czym jest VI kontynent dla naukowców? Dla geografów — naturalnym laboratorium badawczym. W Szwecji i we Francji próbuje się np. stworzyć podobne warunki, w sztuczny sposób zamrażając w laboratoriach skały. Antarktyda pozwala skonfrontować teorię z rzeczywistością. Po prostu można tu obserwować procesy, które zachodziły kiedyś także i na ziemiach polskich, kiedy to lodowce kształtowały rzeźbę terenu. Z tego punktu widzenia interesujące są wszelkie zjawiska związane z działalnością wiatru i życiem lodowca.

Główne cele badań zmierzają, zdaniem prof. dr. Anny Dylikowej, członka Komitetu Badań Polarnych PAN — do poznania środowiska naturalnego, z różnych punktów widzenia i możliwości adaptacji w nim człowieka, a także wykorzystania obszarów polarnych pod względem ekonomicznym i surowcowym. W tym miejscu nie można zapomnieć o powołanym w Łodzi z inicjatywy profesora Jana Dylika międzynarodowym biuletynie peryglacjalnym, który od lat pięćdziesiątych do chwili obecnej jest jedynym wydawnictwem tego typu w świecie.

Biolodzy przywieźli z wypraw polarnych ogromny materiał badawczy, który do tej pory opracowują w laboratoriach. Część badań wiąże się z bogactwem Antarktydy — kryłem, źródłem pożywienia dla wszystkich co żyje. Wszystko na kontynencie kręci się wokół kryla i nigdzie indziej nie występuje podobna zależność istot żywych od jednego źródła pożywienia. Druga grupa zagadnień dotyczy zasiedlenia dna przybrzeżnej strefy Antarktyki. Różnorodność skorupiaków, jeżowców i różnego rodzaju ryb skłania do zbadania ich sposobu odżywiania, możliwości adaptacji w ciepłych wodach i wykorzystania dla potrzeb człowieka nowych źródeł żywności. Antarktyda to zatem nadzieja i przyszłość i gdy pytam łódzkiego polarnika, czy pojechałby znów na King George — odpowiadają bez wahania, że tak.

Leopold Dutkiewicz twierdzi, że Antarktyda jest jak nieuleczalna choroba. Kto raz zarazi się polarnym bakcylem, nie może się z niego wyleczyć.

Bo gdzie indziej można tak zmierzyć się z przyrodą? Tak otwarcie, po męsku stanąć do walki, poznać przeciwnika? To nie dżungla, w której złudnej urodzie kryją się śmiertelne niebezpieczeństwa. Tu wroga widać na otwartej, lodowej przestrzeni.

MAŁGORZATA GOLICKA



Foto: K. Krajewski



GORDAN DRAGOVIC (Jugosławia): — Lubię polską telewizję i uważam ją za jedną z najciekawszych w Europie.



ANNICK CATALDI (Francja): — Studentów trudno zachęcić nawet do krytyki tekstów literackich.



JEAN FRANCOIS DELAUNAY (Francja): — Wydaje mi się, że Polacy umieją żyć chwilą, co zapewne wynika z innego stosunku do życia.

Przyjechali do Polski 2-3 lata temu. Pracują w łódzkich uczelniach jako wykładowcy i lektorzy, lub sami przygotowują prace naukowe pod kierunkiem naszych profesorów. Wielu z nich zwiędziało spory smutek. Dziś, żyją wśród nas na co dzień, niektórzy założyli nawet w Łodzi rodziny. Poznają język polski, dzielą z nami nasze kłopoty i radości.

Co myślą o nas? Co ich najbardziej zdumiewa? Co zaskakuje, właśnie w tym życiu na co dzień? Ich opinie są różne. Czasami zgodne, czasami zaskakująco odmienne. Czyż jednak nie przeliera z nich żdźbło prawdy? Odpowiedzi w chwili świątecznej zadumy niechaj poszukają sami Czytelnicy.

DLACZEGO WŁAŚNIE POLSKA?

J. F. Delaunay: — Pracowałem już w Nigerii i Boliwii. Miałem jechać do Jugosławii. Przypadek jednak zrzucił, że podpisałem kontrakt do Polski. Nie żałuję tego kroku. W styczniu miną dwa lata od mego przyjazdu do Polski.

S. Miskdjian: — Poprzednio wykładałem trzy lata w Związku Radzieckim. Poznałem tam wiele Polek i Polaków, z którymi nawiązałem przyjaźnię. Zależało mi na tym, aby te kontakty podtrzymać. Świadomie więc wybrałem rok temu pracę w Polsce.

G. Dragovic: Wybór Polski za kolejny kraj moich studiów (przedtem odbyłem studia muzyczne w Paryżu i Wiedniu), był dla mnie oczywisty. Poprzez rodzinę mam bliskie kontakty z Polską. Osiem osób w mojej rodzinie zna perfect język polski i w swojej pracy często kontaktują się z naszym krajem. Bywam tutaj od lat 60-tych. Wybór studiów w łódzkiej szkole filmowej był więc zupełnie świadomy. Uważam, że jest to najlepsza uczelnia tego typu w Europie. Jedynie angielska szkoła filmowa może z nią konkurować.

T. Marcus: — Organizacja, do której należę (Ruch Wyzwolenia), przyznała mi stypendium do Polski. Jestem tu trzeci rok. Studiuję socjologię i przygotowuję pracę na temat pozycji społecznej kobiety w RPA. Poprzednio studiowałam ekonomię w Wielkiej Brytanii. Byłam między innymi w Związku Radzieckim, RFN, NRD i na Kubie.

M. A. Więckowska: — Przyjechałam do Polski trzy lata temu jako narzeczona łodzianina, poznanego na studiach w Moskwie. Wkrótce potem poślubiłam się i dziś uważam się za mieszkankę tego miasta.

P. Howlett: — Drugi rok pracuję w Instytucie Filologii Angielskiej UŁ. Przyjechałam tu prosto po studiach w British University (Sheffield). Jest to moja pierwsza praca. Przyznaje, że nie znałam zupełnie Polski, dlatego właśnie wybra-

łam ten kraj. Głównie z ciekawości.

A. Cataldi: — Mój dziadek był Polakiem, więc od dawna interesowałam się Polską. Mam też w swoich żyłach jedną czwartą krwi włoskiej. Bardzo chciałam przyjechać tutaj i zobaczyć, jak wygląda nasz kraj z bliska. Do Łodzi przyjechałam w styczniu ubiegłego roku.

PIERWSZE WRAŻENIE

S. Miskdjian: — Poetyckie. Prawie surrealistyczne. Polacy zaprowadzili mnie, zaraz po przyjeździe, w Święto Zmarłych na cmentarz. Pałace się świece na grobach, luna unosząca się nad cmentarzem na Dołach, kwiaty, tłumy najbliższych z szacunkiem czujących pamięć zmarłych, zrobiły na mnie niezapomniane wrażenie. We Francji nie ma tego zwyczaju.

A. Cataldi: — Mroźne. Nie doceniałam polskiej zimy, ale podobno miałam pecha, bo ubiegłoroczna była wyjątkowo ciężka. Przyjechałam do Łodzi pod koniec stycznia i pierwsza rzecz, która rzuciła mi się w oczy, to zwąły śniegu wokół dworca.

T. Marcus: — Niemile. Pamiętam nieporozumienie z konduktorem. Wsiadłam do wagonu I klasy, a okazało się, że mam bilet do drugiej. Nie mogłam porozumieć się z konduktorem.

F. Howlett: — Urbanistyczne. Przyjechałam do Łodzi rano i byłem zdumiony kontrastem między szerokimi głównymi, arteriami, a wąskimi ulicami w centrum i kociami łbami na przedmieściach. Nowoczesne budynki sąsiadowały ze śladami osobliewej, starej architektury. Myślę, że to połączenie stylów jest charakterystyczne dla Polski.

M. A. Więckowska: — Niepewne. Nie wiedziałam, jak przyjmie mnie rodzina przyszłego męża. Czy dam sobie radę z językiem, z pracą zawodową, czy mnie zaakceptuje nowe środowisko. Miałam pewnie ogromne szczęście, bo wszędzie spotkałam się z ogromną życzliwością, nawet ze strony zupełnie obcych ludzi. Dziś, wspominam te chwile niepewności z rozrewnieniem.

POLACY — CUDZOZIEMCY

G. Dragovic: Dla cudzoziemców jesteście — niesłychanie wylewni, co nawet zdumiewa u osób, które widzimy po raz pierwszy w życiu, albo też krańcowo różni. Nie wiem od czego to zależy. Stosunek Polaków do cudzoziemców określiam więc jako ekstremalny.

J. F. Delaunay: — Kontaktom Polaków z cudzoziemcami towarzyszy zdumiewający entuzjazm. Kiedy obcokrajowiec wchodzi do polskiego domu, traktowany jest jako wyjątko-

wy gość. Nie spotkałem tego we Francji w stosunku do obcych.

P. Howlett: — W stosunku Polaków do cudzoziemców nie widzę żadnych wad, z wyjątkiem jednej. Przykro mi, kiedy nieznajomi uważają, że skoro jestem cudzoziemcem, to powinienem tryskać dolarami jak fontanna. Tymczasem, podobnie jak inni obcokrajowcy zatrudnieni tutaj, otrzymuję wynagrodzenie w złotych. Także nie wszyscy zagraniczni turyści są milionerami.

M. A. Więckowska: — Myślę, że w stosunku do cudzoziemców charakterystyczna jest ogromna ciekawość. Na ogół Polacy, którzy spotykają mnie po raz pierwszy, dosłownie nie chcą wypuścić z rąk. Wykorzystują okazję, aby dowiedzieć się jak najwięcej o Związku Radzieckim.

SENTYMENTALNI, ROMANTYCZNI?

S. Miskdjian: — Oczywiście. Polska jest, według mnie, ostatnim krajem w Europie, w którym takie cechy występują. A może to zaleta późnocnych Słowian, nie wiem. W każdym razie uważam to za objaw pozytywny, tylko czasami niezrozumiały, jak na przykład całowanie kobiet w rękę. A jeśli niezrozumiały, to zabawny.

G. Dragovic: — Ależ skąd, Polacy wcale nie są sentymentalni w porównaniu z innymi znanymi mi narodami. I właśnie nie uważam za szczególnie pozytywną cechę.

J. F. Delaunay: — Polacy nie wstydzą się mówić o swoich uczuciach. To wspaniale. We Francji moi rówieśnicy nie lubią mówić na przykład o miłości.

M. A. Więckowska: — Na pewno jesteście sentymentalni. Jest na przykład w Polsce piękny zwyczaj obdarowywania się kwiatami. Nieomal przy każdej okazji kwiaty otrzymują kobiety i mężczyźni, młodzi i starzy. Tak pięknych kwiatów i wianek nie widziałam nawet u takich estetów jak Włosi.

P. Howlett: — Polacy odczuwają emocje głęboko i wyrażają je szczerze, w sposób, który powściągliwi Brytyjczycy traktują jako godną podziwu wartość.

DOPROWADZILIŚCIE NARZEKANIE DO ARTYZMU

M. A. Więckowska: — Polacy narzekają ogromnie dużo. Rozumiem, że człowiek nie powinien osiągnąć takiego stanu, w którym byłby ze wszystkiego zadowolony. Jeśli nie dąży już do niczego, jeśli uważa, że wszystko osiągnął, jest wtedy stracony. Jednakże Polacy narzekają ponad miarę. I często nie doceniają tych wartości, które posiadają. Na przykład ktoś ma udaną rodzinę, pię-

kne, zdrowe dzieci, interesujący zawód i wcale się z tego nie cieszy.

T. Marcus: — Polacy narzekają i krytykują, chociaż mówią, że nie wolno. Co prawda uważam, że mają ku temu powody.

P. Howlett: — Większość ludzi lubi sobie ponarzekać, ale Polacy doprowadzili narzekanie do arcyzmu. Najbardziej mnie irytuje nie to, że krytykują, mając ku temu powody, ale że na krytykę poprzestają. Zdumiewa mnie także wszystko, co kryje się pod słowem „załatwić”. Czasami wydaje mi się, że w Polsce są tylko dwie kategorie ludzi: siedzących za biurkiem i stojących z drugiej strony biurka. Zależnie od sytuacji, zmieniają oni swoje miejsce.

TROCHĘ INNE UCZELNIE

A. Cataldi: — Uważam, że jest zbyt wielki dystans między wykładowcami a studentami. Sama studiowałam w uniwersytecie w Lyon III i nawiązałam tam wiele przyjaźni z młodymi nauczycielami. Na moich pierwszych zajęciach w Łodzi zachęcałam studentów do dyskusji. Przecież możecie się ze mną nie zgodzić, mówili. Odpowiadali, że nie są przyzwyczajeni do takiej formy. Trudno ich zachęcać nawet do krytyki tekstów literackich. Na młodzieży studiów taką postawę można usprawiedliwić słabą znajomością języka. Studenci starszych lat opanowali już francuski tak dobrze, że z powodzeniem mogą dyskutować. Dlaczego więc są tak bierni?

S. Miskdjian: — Myślę, że te kontakty zależą od indywidualności poszczególnych osób. Trudno mi powiedzieć coś ogólnego. Studenci mają wielką łatwość mówienia po francusku, natomiast o wiele gorzej piszą, co prawdopodobnie wynika z braku ćwiczeń. Zauważyłem też, że często lekają się dyskusować na zajęciach z obawy, że wykładowcy ich skrytykują lub wysmieją.

G. Dragovic: — Zgodzę się z tym, że stosunki: profesor — studenci są zbyt oficjalne. We Francji i w Austrii na studiach muzycznych kontakty te były bardzo bliskie, część zajęć odbywaliśmy nawet w prywatnych mieszkaniach wykładowców. W Jugosławii wyglądają te relacje bardzo różnie, zależnie od uczelni i miejscowych tradycji.

T. Marcus: — Uważam, że studenci nie wykorzystują swych szans. Na przykład na konsultacjach wykładowcy czekają na młodzież kilka godzin, a tu nikt nie przychodzi. Studenci zjawiają się tylko wtedy, kiedy mają otrzymać zaliczenie lub stopień. To prawda, że na pierwszych latach są jeszcze zbyt mało dojrzały, ale na wyższych? Nie wierzę, aby nie myśleli.



PAUL HOWLETT (Wielka Brytania): — Gdyby polscy studenci byli traktowani w mniejszym stopniu jak uczniowie, a w większym jak dorośli, studia dawałyby im więcej satysfakcji.



TESSA MARCUS (Afrykański Kongres Narodowy — RPA): — Polki mają wolność i niezależność, ale nie wykorzystują tego w pełni.

P. Howlett: Brytyjscy studenci mają więcej możliwości wyboru przedmiotów, a system zajęć zachęca ich do samodzielnego studiowania. Wydaje mi się, że polskich studentów zniechęca do samodzielnego pracy napięty rozkład obowiązkowych ćwiczeń. Studenci odnoszą się do wykładowców formalnie, ale bardzo uprzejmie. Ubiierają się starannie, żeby zrobić dobre wrażenie na egzaminie. Wzajemne kontakty towarzyskie, jeśli są, to bardzo sporadyczne. Angielscy studenci widzą w swoich tutorach (pracownikach naukowych kierujących indywidualną pracą studenta) w większym sto-

J. F. Delaunay: — We Francji jest bardzo silny ruch feministyczny. Kobiety związane z tym ruchem są dotknięte, jeśli otacza się je specjalnymi względami. Nie jest to, według mnie, sytuacja normalna.

P. Howlett: — W Polsce brak jest aktywnego ruchu feministycznego. Wynika to oczywiście z większej emancypacji kobiet w Polsce. O wiele więcej kobiet reprezentuje tu na przykład nauki ścisłe. Jednocześnie, pracujące Polki nie straciły nic ze swej kobiecości. Mężczyźni otwierają przed nimi drzwi, pomagają nosić ciężkie torby. Polki traktowane są z dworskoscia, do

się, że w wielu życiowych okolicznościach jest bezradna i bardzo długo zależna psychicznie od rodziców. Nawet doradzi z łada zmartwieniem pędzą do rodziców i czekają na pomoc. W Moskwie młodzi ludzie za punkt honoru uznają nie przyznawanie się przed rodzicami do swoich zmartwień i porażek, przeciwnie, chcą pokazać, że sami potrafią dać sobie radę. Poza tym, zauważyłam, że Polacy unikają odpowiedzialności i dodatkowych kłopotów. Zarówno w pracy jak i w życiu domowym.

P. Howlett: — Młodzi w Polsce bardzo długo pozostają z rodzicami, przeciwnie niż w Anglii, gdzie dzieci dość wcześnie wyprowadzają się z rodzicielskich domów. Jednakże nie jestem pewien, czy to wyrodne życie i mieszkanie polskich chłopców i dziewcząt z rodzicami do dwudziestego roku życia nie sprzyja infantylności. Przecież oni nie mają możliwości dojrzeć. Często są małżeństwa, zawierane w młodym wieku, bez okazji do nauce, nie są samodzielnością przed ślubem. Swoją drogą, muszę się dowiedzieć, jaki jest wskaźnik rozwodów w Polsce.

ELASTYCZNE POCZUCIE CZASU

S. Miskdjan: — Polacy mają elastyczne poczucie czasu. Umawiają się na godzinę 9 a przychodzą o 11. W przeciwieństwie do Francuzów, zupełnie nie oszczędzają czasu.

G. Dragovic: — W porównaniu z Zachodnią Europą Polacy są ogromnie niepunktualni. W porównaniu z mieszkańcami Południa Europy — bardzo akuradni. To zależy, z jakiego punktu widzenia się na to patrzy.

M. A. Więckowska: — To zależy od człowieka. W moim najbliższym otoczeniu, np. w pracy, koledzy są bardzo obojętni i punktualni. Mój mąż też ogromnie szanuje czas. Natomiast pościąg i tramwaje chodzą bardzo niepunktualnie. Jechałam kiedyś do Warszawy, spóźniłam się pięć godzin i nic już nie załatwiłam.

MACIE WIELE ZALET

G. Dragovic: — Za charakterystyczną, wielce pozytywną cechą Polaków, uważam ambicję przejawiającą się w różnego typu działaniach. Na kolejnym miejscu wymienilibym szerokie zainteresowania.

A. Cataldi: — Bardzo ujmuję mnie gościnność, serdeczność i życzliwość Polaków. To nie mity, to prawda. We Francji mieszkalam cztery lata i nie znalazłam swoich sąsiadów. Tutaj znam wszystkich na swoim piętrze. Na przykład pewnego dnia sąsiedzi wychodzili ze skóry, aby naprawić mi światło.

J. F. Delaunay: — Polacy są niesłychanie gościnni i mają szeroki gest. Obserwowałam

to zwłaszcza w pierwszym okresie pobytu w Polsce, kiedy nie miałem własnego domu i często stołowałam się w restauracjach. (Jean François ożenił się niedawno z lodzianką). Często więc obserwowałam, jak Polacy potrafili się bawić. Wydaje mi się, że umieją żyć chwilą, co zapewne wynika z innego stosunku do życia. Francuz nigdy by sobie na nieprzewidywany wydatek nie pozwolił.

T. Marcus: — Uderza mnie życzliwość i solidarność w niesieniu pomocy, zwłaszcza w trudnych sytuacjach. Mogłam to zaobserwować podczas ostatniej ciężkiej zimy.

P. Howlett: — Polacy są rzeczywiście pełni wewnętrznego ciepła i szlachetności. Przyjaźnię, jakie tu nawiązałam, uważam za bardzo wartościowe.

M. A. Więckowska: — Podziwiam wytrwałość Polaków w dążeniu do celu. Niezwykle wkładają w to serca i wysiłku.

ŻYCIE JEST TAKIE INTERESUJĄCE

S. Miskdjan: — Interesuje mnie wszystko, co się dzieje dookoła. Pochłania mnie praca z polskimi studentami. Po raz pierwszy w życiu mam okazję robić to, co naprawdę lubię.

G. Dragovic: — Interesuje mnie przede wszystkim życie kulturalne: film, teatr, opera. Śledzę na bieżąco wszystkie wydarzenia. Lubię polską telewizję i uważam ją za jedną z najciekawszych w Europie. Uważam też, że macie sporo interesujących i starannie wydana książek.

J. F. Delaunay: — Interesuję mnie przede wszystkim podróżę i polska muzyka. Byłem niedawno miesiąc w Tatrach. Pochodzę z Grenoble, prawie wychowałem się w Alpach, ale Tatry zrobiły na mnie wielkie wrażenie. No i ta góralska muzyka.

T. Marcus: — Kiedy przyjechałam do Polski, nie miałam pojęcia o polskiej kulturze. Dziś patrzę na nią zupełnie inaczej, jako na kulturę narodową, z dużym wkładem w kulturę Europy.

M. A. Więckowska: — Nie opuściłam żadnej premiery w Teatrze Wielkim, a już obowiązkowo muszę być na przedstawieniach baletowych. To przyzywanie pozostało mi jeszcze z Moskwy.

P. Howlett: — Sprawa ogromną przyjemnością podróżowanie po Polsce. Byłem już w Karpaczu, w Zakopanem, w Krakowie i na Wybrzeżu. Często odwiedzam Warszawę. Będąc urodzonym londyńczykiem, smakuję tu kosmopolityczną atmosferę, zwłaszcza na Starym Mieście. Pozostało mi jeszcze sporo miejsc do zwiedzenia, m. in. chciałbym pojechać do Poznania, Lublina, na Pojezierze. Zapewne wszędzie tam znajdzie odrobinę uroku.

Foto: R. Łucyszyn

PRZY WIGILIJNYM STOLE

Jak spędzali święta i wigilie pisarze i poeci, przebywający w kraju i za granicą? Jakże były ich refleksje? Oto fragmenty ich listów i wspomnień o przeżytych chwilach przy stole wigilijnym:

1828 — A.E. ODYNIEC O WIGILII U ANKWICZÓW W RZYMIE:

„Uczta była całkiem po polsku. Stół nakryty był na ścianie, nad nim w środku kręciła się gwiazda z opłatków. Od dwóch żup: grzybowej i migdałowej, aż do śliżków, grochu i pszenicy z sypką, żadnej z potraw obrzędowych nie brakło. Adam (Mickiewicz — przyp. F.L.) jadł wszystko i unosił się nad nimi, jak drudzy goście nad morskimi rybami. Osób było jak raz dwa-nastu. Po toście na rzecz solenizanta (A. Mickiewicza — przyp. F.L.), wzniesionym przez gospodarzy i toście na cześć solenizantki (Ewy Ankwiczówny — przyp. F.L.), wzniesionym przez gości, ksiądz Zajęczkowski wznosił trzeci wspólny: „Adama i Ewy”, który też oboje rodzice uprzejmie i wesoło spełnili.

Po obiedzie sama pani na prośbę Adama grata ciągle najmniej przez kwadrans melodię piosenki „Anioł pasterzom mówił”, której żadna z pań nie umiała. Adam tak je z tego względu za-wstydział, że obie przyrzekły poprawę. Stąd wywodziła się nader miła i ożywiona rozmowa o różnych wspomnieniach, przypodach i anegdotach, odnoszących się do dnia Wigilii, a w której solenizant prym trzymał.

1832 — J.U. NIEMCEWICZ O WIGILII W PARYŻU (w „Dzienniku pobytu za granicą”):

„Uczta postna, polewka migdałowa, kucia, strucle. Obrus na ścianie, w czterech rogach izby jadalnej cztery snopy pszenicy. Nie można było dostać opłatki, skrajaliśmy więc bułkę w cienkie grzanki i zamiast opłatki łamali ze sobą. Przyniosłem ze sobą dwie butelki szampańskiego, by winem tym wypić zdrowie Polski. Skromna ta uczta przeciągnęła się do północy. Przywołłem się do domu po błocie i wśród deszczu, rozmyślając sobie, że i w smutnej Polsce może krewni i przyjacieli nasi łamiąc opłatek, wspominają o nas.

1838 — J. SŁOWACKI W LIŚCIE DO MATKI:

„Wigilię jadłem z ziemkami w domu Hermana na ścianie. Sama gospodyni domu dała nam dawne potrawy, w których wspomnienia były pieprzem i rodzynekami. Nie wiem dlaczego, ale ciągle myślałem o wili w prefekta Jarkowskiego, którą kiedyś jadłem, będąc dzieckiem, potem przysłała mi na myśl wielka babunia piekarnia; czeladź, śpiewająca koledy, potem wertep krzemieniecki, któremu może winien jestem mój szel-spirowski zapal.

Nareszcie dawnym zwyczajem wyciągnęłam żdźbło siana z pod obrusa i wyciągnęłam je bez kwiatka. Pani domu, widząc moje zasmucenie, ofiarowała się, że mi drugie wyciągnie: jakoś dobyła żdźbło krótkie bardzo, nie z kwiatkiem, ale z kłosem na końcu. Tłómacz więc sobie, droga moja, że dni moje będą krótkie, ale kłos zostanie po nich: ja tak tłómaczę sam i cieszę się...

1881 — W. SIEROSZEWSKI WE WSPOMNIENIACH O ŚWIECIE W JAKUCI NA SYBERII:

„Skrzydłata wieść przyniosła pogłoskę nieprawdopodobną, że z dalekiej o kilkaset mil administracyjnej osady, sam „Utachan Tojon (ogromny pan — naczelnik powiatu) przysłała mi na „wielkie święto Bożego Narodzenia” całą skrzynię podarunków, obfitym skrzynię, bardzo ciężką, a więc pełną pewnie rzeczy potrzebnych człowiekowi: herbaty, cukru, soli, tytoniu. A może nawet i „ognistej wody zapomnienia”.

A tymczasem, gdyśmy ją wśród powszechnego podniecenia otwarli, rozczarowanie było niezmiernie i ogólne.

— Same papiery! — rozległ się zdumiony szept.

— O radość, znalazłem książki, polskie książki, których nie widziałem od wyjazdu z kraju.

Przysłała mi je siostra Paulina.

Ustąpiłem jednak, jak szepotali Jakuci:

— Nie, tylko książki! Papiery! Ani cukru, ani soli, ani herbaty! Pewnie dlatego płacze!

Kozak i woźnica, którzy dostarczyli skrzynkę, byli wprost oburzeni:

— Takeśmy ją szanowali! Jak jakąś świętość! A tu nie masz nawet czym nas poczęstować!

Na szczęście wśród książek znalazłem malutką tabliczkę czekolady, którą moi przyjaciele schrupali z wielkim apetytem, podzieliwszy ją na drobne kawaleczki na wszystkich obecnych.

1888 — S. ŻEROMSKI O WIGILII U ZNAJOMYCH (w „Dziennikach”):

Wigilia... Obrus rozciągnięty na stole okrytym ścianem, choinka dla małego Jasia, ta uroczystość, której urok odczuwałam, choćby był ateuszem gubernialnym, dla mnie smutny ma oddźwięk. Przy tym drzewku, przy tym ścianie łączą się rodziny, topnieją serca, tylko dla mnie nie ma gościnnego miejsca przy żadnym sercu. Zawsze mi smutno, zawsze mi nieokreślenie w taki dzień tęskno — za matką, za tym, „żem nie znał prawie rodzinnego domu”...

Ale jemy we czworo najrozmaitsze ryby z sosami, bez sosów, z jajami, bez jaj, ze smakiem i bez smaku sporządzone. Palimy późny papierosy i mówimy o Skarbie Narodowym...

1891 — M. KONOPNICKA W LIŚCIE DO RODZINY O WIGILII W MEDIOLANIE:

Przeszła więc ta willa, którą pierwszy raz w życiu sama spędziłam. Druga za granicą kraju... Teraz byłam zupełnie sama. Od rana pracowałam trochę, po południu poszłam do ogrodu — pusty był, fontanna tylko bila wysokim słupem przed pałacem królewskim i bocian zimujący około bańcziarni stał na jednej nodze, na chruście swoim i patrzył w nią z jednej strony, a ja z drugiej. Takeśmy doczekali wieczora. W domu zapaliłam sobie ogień na kominku, przełamalam się z wami opłatkiem, zjadłam parę sardynek, napiłam się herbaty, przysunęłam sobie do ognia fotel i próbowałam czytać. Ale mi ręka z książką opadała, a oczy patrzyły w ogień, widząc rzeczy dalekie, minione i takie, które już nigdy nie wróca.

M. DĄBROWSKA O WIGILII (w „Uśmiechu dzieciństwa”):

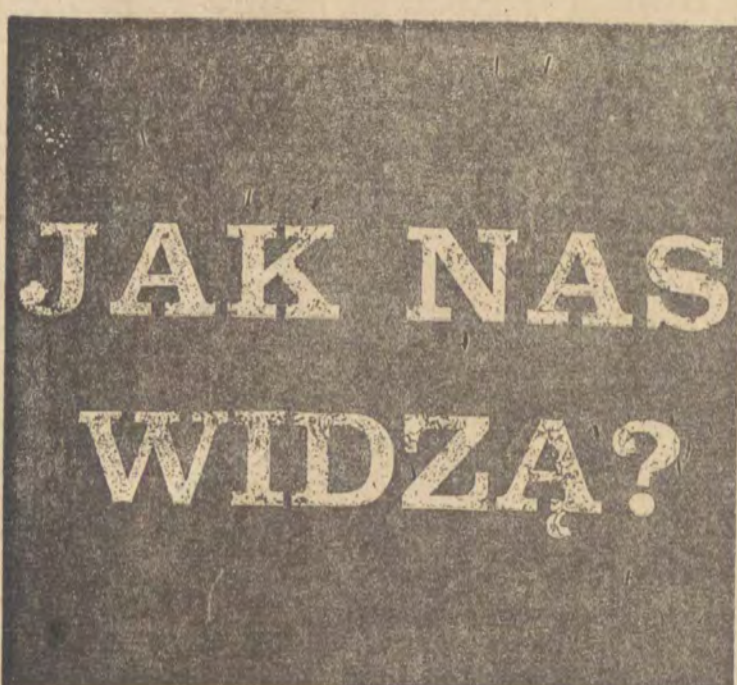
„Na wielkim stole były porzastawiane miski, a na nich piętrzyły się jabłka, orzechy i pierniki. Musiała być porcja dla każdego — i z dworskiej kuchni, i z czeladnej. Wszyscy się cislali, żeby się przełamać opłatkiem. Potem dostawali ogromny kielich wódki, a ojciec do nich przepijał. Przychodzili też włodarze, stelmach i ogrodnik, ale ci tylko opłatkiem się łamali i życzenia składali...

Później myśli się z rodzicami dzielił opłatkiem i nareszcie zasiadaliśmy do wieczerzy, podczas której matka drżała, aby dzieci nie udlawily się ością, dzieci jadły ze strachem i zdawało im się czasem, że się dławia. Wtedy ojciec kazał im jeść dużo kartofli i były zachwycone. Do wieczerzy dzieci dostawały słodkiego, muszkatałowego wina i prosiły o jeszcze. W końcu zjawiały się bakalie — sen całego roku — słodycz daktyli, pachnąca i ostra słodycz fig, aromatycznie szczepiane rodzyńki, zimne marmoladki, wonne korzenne pierniki, a na końcu orzechy.

Duże włoskie orzechy jedliśmy z miodem, a małymi łaskowymi mi graliśmy z ojcem w cetno i licho.

Po wieczerzy jeszcze raz zapalano świeczki...

oprac. F.L.



piu przewodników niż nau-czyteli. Często są ich bliski-mi przyjaciółmi. Zajęcia są mniej oficjalne, mogą nawet odbywać się w pubie. Zarów-no studenci jak i tutorzy trak-tują spotkania ze sobą jako okazję do wymiany poglądów. Młodzi nie ustępują przed opinią pracownika naukowego tylko dlatego, że jest on pra-cownikiem. Sądzę, że gdyby polscy studenci byli traktowa-ni w mniejszym stopniu jak uczniowie, a większym jak do-rośli, studia dawałyby im wię-cej satysfakcji. Tym bardziej, że są chętni do pracy i bardzo przyjaźliwi. Stąd też moje zajęcia dostarczają mi wiele zadowolenia, a pracę uważam za interesującą.

RAJ DLA KOBIET

G. Dragovic: — Kobiety bez wątplenia znajdują się w Pol-sce na pierwszym miejscu. Są bardzo samodzielne. Często jed-nak pytam sam siebie: kiedy one mają na to wszystko czas, kiedy zajmują się domem? Nigdzie w świecie nie widzia-łem tylu młodych kobiet w kawiarniach w ciągu dnia.

której tęsknią Angielki na Wyspie.

T. Marcus: — Na pozycję kobiet patrzą jako socjolog. Przygotowuję pracę dotyczącą sytuacji kobiet w RPA. Uwa-żam, że Polki mają wolność i niezależność, ale nie wykorzy-stują tego w pełni. Poza tym są bardzo delikatne. Czyż na-prawdę nie potrafią same o-tworzyć drzwi?

M. A. Więckowska: — Ko-biety w Polsce są bardzo za-dbane. Silnie ubrane, staran-nie umalowane. Kiedy przyje-chałam tu po raz pierwszy, pa-trzyłam na nie z podziwem i zazdrością.

P. Howlett: — Ponieważ więk-szość studentek, to dziewczę-ta, muszę mimo woli zwracać na nie uwagę. Uważam, że Pol-ki są piękne. Naprawdę. Wy-starczy rzucić okiem na żeń-ską polowę Instytutu, lub sze-roko otworzyć oczy na Pio-trkowskię.

TRZYDZIESTOLETNI DZIECI

M. A. Więckowska: — Polska młodzież ma bardzo szerokie zainteresowania, ale wydaje mi



MARIJA ALEKSIEJEWA-WIĘCKOWSKA (ZSRR): — Polska młodzież w wielu życiowych okolicznościach jest bezradna i bar-dzo długo zależna psychicznie od rodziców.



SERGE MISKDJIAN (Francja): — Polacy mają elastyczne po-czucie czasu. Umawiają się na godzinę 9, a przychodzą o 11.

Dalszy ciąg ze str. 1

spia w rytmie moskiewskim, a ja przykładnie posuwam, posuwam wskazówki. Najpierw dwie, potem pięć i znów dwie godziny do przodu. Gdzieś na półmetku narastająca w zniechęceniu wątpliwość — my go, czy on nas zmóże, ten wędrujący po tysiącach kilometrów czas.

Pierwsze nieporozumienie, pierwszego dnia — w Moskwie. Wybierając się na Syberię chcemy posłuchać o miastach przyszłości, wokół których sporo dyskusji w radzieckiej prasie i środowiskach naukowych. Gdy Stowarzyszenie Architektów rozpisano konkurs na wzięcie Mirnego w Jakucji — nadeszło ponad 100 prac. Jedna, najodważniejsza chyba, lokowała miasto pod szklaną kopułą. No cóż — jak się projektuje dla kopalni diamentów, fantazji nigdy nie za dużo. A swoją drogą przydałaby się taka szklarnia ludziom żyjącym w temperaturze — 60 st. Już widzę te sady, ogrody...

Tak naprawdę zobaczyliśmy znakomite zresztą wydaną książkę o historii architektury i urbanistyki Moskwy, podyskutowaliśmy o trudnościach harmonijnego łączenia tradycji i elementów narodowych z nowatorstwem i w ogóle o zakresie badań Instytutu Teorii i Historii Architektury kierowanego przez goszczącego nas prof. JARALOWA. Czyli bliżej byliśmy w tej rozmowie przeszłości, niż przyszłości. Ale zgnając się, z autorskimi egzemplarzami owej książki (której próżno już szukać w księgarniach) pod pachą — trochę lepiej zaczęliśmy rozumieć kraj, który przyjdzie nam oglądać.

Wieczorny odlot do Irkucka. Spać, koniecznie spać. Przywita nas blady świt syberyjskiego dnia, gubimy przecież całe pięć godzin nocy, a program mamy taki więcej „z marszu”. Jak tu jednak spać, gdy za sąsiada masz Azerbejdżanina, który cię gości przez pół drogi — czym tylko torba bogata. Nawet ziemniaków w lupinach nie zabrakło na tej uczcie, a stewardesa koso popatrzyła na nasze pełne tacki z firmową kolacją. I tak sobie pojadając, popijając, dyskutujemy o życiu, Syberii, Baku — najpiękniejszym z miast. — Wy też macie piękne. Kraków na przykład — deklarują się nagle ASŁAN i uradowany naszym zaskoczeniem dopowiada —

mu przypisać kamień o bardzo dobrym horoskopie. Ja na przykład, skojarzana na podstawie daty urodzin z granatem, mam ponoć wręcz kryształowy charakter.

Do Bracka leci się niecałą godzinę. I wreszcie to, co najsilniej zakodowane w nafaszerowanej lekturą wyobraźni. Czarna tajga, biały śnieg. Kilometrami. „AN-24” przelatuje tak nisko, że gdyby tylko był w tym gąszczu jakikolwiek ślad życia, musielibyśmy zauważyć. Dymiący kominami największej w ZSRR fabryki aluminium Brack wyrasta tak nagle na tej białoczarnej płaszczyźnie, że w pierwszej chwili trudno uwierzyć, iż te małe ruchome figurki to dzieci zjeżdżające na sankach z górki w osiedlu Energetyk. Prędzej by się człowiek baraszkującego w śniegu miszki spodziewał.

Brack — koło przemysłowo-mieszkalny, rozrzucony kepkami co trzydzieści, pięćdziesiąt kilometrów. Co fabryka, co budowa, co inwestycja — to osiedle. Najstarsze, drewniane — Padun, zaczęto budować w 1955. Nazwa, skąd nazwa? Czytam w hotelu zabrany przypadkiem — zbiór reportaży Wojciecha Giełżyńskiego — *Nawet kiedy umrzesz, pozostaniesz* — i trafiam — masz ty koleżanko szczęście — na relację z ostatniego rejsu parostatku „Besarabia” po Angarze, tuż przed rozlaniem się po okolicznych brzegach Brackiego Morza. Mijają wioskę Padun, którą lada dzień zatopi woda i unicestwi elektrownia. Popijając stoliczną, czaj i koniak. Smutno im jakoś. No i proszę. Niedźwiedzie poszły i nie ma komu przywieźć żyłastego konia na schody stołową powołanego w roku 1954 przedsiębiorstwa „Brackgestroj”, ale nazwa Padun — została. I nawet kilkanaście kroków od brzegu zbiornika możesz sobie obejrzeć pieczołowicie przeniesione fragmenty ogrodzenia i wieży strażniczej starej warowni założonej tu w roku 1631. Nie na darmo widać był to koniak pięciogwiazdkowy. Szlachetny trunek, szlachetne gesty.

Na mozaikowym schemacie wyłożonej marmurami hali w budynku głównym Brackiej Elektrowni cztery słoneca nad Angarą — cztery wodne elektrownie i miejsce na dwie następne. Na świetlnej tablicy w maszynowni elektryczny wydruk — 337 672 mld kWh. Tyle energii popłynęło stąd do dziś. Do dnia mojego spotkania z kołosem uruchomionym siłą wody prze-

woli od chlapaniny i mżawki.

Rok temu zeszły z przydzielonego irkuckiemu obwodowi 286-kilometrowego odcinka Wielkiej BAM. Przekazali „klucze” Buriatom, dotrzymali zobowiązania przyspieszenia swojej budowy właśnie o rok. Powrócili na stary szlak i pożegnali mieszkanie w leśnych osiedlach. Zadomowili się w Bracku, powprawiali do bioków. Ale nie wyglądają na rozleniwionych, nie zamienili walonek na miękkie ciapcie.

Ej, walonki, walonki. Przydałybyście się „Syrena” nie na wędrowki po zaspanych śniegiem podkładach. Ale trudno, z obcasem w garści też co trzeba obaczysz.



wo-badawcze, instytuty, Prezydium Daleko-wschodniej Akademii Nauk. Średnia wieku zatrudnionych w gospodarce: 27—28 lat. Problemy — jeszcze brak żłobków, przedszkoli, internatów. Co trzeci mieszkaniec Chabarowska żyje już w nowym, blokowym mieszkaniu. Tak mówią ci, którzy oddają rocznie 300 tys. m kw. powierzchni mieszkalnej i wiedzą, że jest to najszybsze tempo budownictwa w tym regionie. Ale przecież można powiedzieć — dopiero co trzeci mieszkaniec Chabarowska... I tak mówią ci, którzy na Dalekim Wschodzie spodziewali się „złotych gór”, którym widocznie nie do końca wytłumaczono, że taki Amursk na przykład powstał dosłownie z niczego. Z pustki ożywionej rekoma dwóch tysięcy budowniczych. A dziś — proszę — miasto 28-tysięczne.

Przed sklepem jubilerskim kolejka. Za pięć minut koniec przerwy obiadowej. Jeszcze ostatnie ruchy łopaty wykorzystujących tę przerwę na odsienianie ulic. Kolejka pęcznieje, a ja przyspieszam ją do 30, 40, 70-procentowych dodatków obowiązujących przy pensji na wielkich budowach, w regionach północnych i w ogóle na Syberii oraz Dalekim Wschodzie. Zgadza się. Tu już wszyscy chcą mieć samochody, dywany, złoto, srebro. Ale chcą mieć także świeże jarzyny, jajka, mięso, drób. Więc w planie inwestycyjnym najważniejsze „fabryki żywności”, wielkie fermy hodowlane, szklarnie. Amur żywi, ale przecież nie wyżywi. Zresztą może tylko przybyśzowi z Polski tak smakuje „morska kapusta”, może tylko przybyśz z Polski oszaleje na widok zaopatrzenia półek w magazynie specjalistycznego przedsiębiorstwa Oklean.

Ostatnia puszka lososia do siatki, ostatni kęs ostro-kwaskowatej „kapusty” (glony? — niech będą i glony, grunt, że smaczne) i w hotelowych drzwiach zderzamy się z „naszymi” Francuzami. A więc i ich niesie na „kraj świata”...

Nachodka coraz bliżej. Jeszcze tylko piętnaście godzin w pociągu. Prawdziwie piętnaście? Tak, prawdziwie. Jedziemy na południe, a nie na wschód. To jednak w Chabarowsku mieliśmy najwcześniejsze spotkanie ze słońcem. — Jeszcze tylko piętnaście godzin i spojrzymy na ocean. — Co miałaś z geografii — pyta dyskretnie Irina. Wzdycham: *napierw jest morze Japońskie... Irino, przecież nie bądź taka dosłowna. Jak myślisz, co gna ten zapędzający pociąg tłum z plecakami pod pachą — Finów, Szwedów, Niemców, Anglików, Francuzów, Słyszysz. Ci dwaj są już trzeci rok „wiecznie w podróży”. A tamtej parze urodziło się chyba po drodze dziecko, bo wyraźnie ma trampowskie nawyki. Czy mają pieniądze? Nie wyglądają mi na krezosów. Mają wyobraźnię — ot co.*

Nie przespać snu. Tajga ussuryjska różni się od syberyjskiej. Tą późną jesienią, wczesną zimą, ogołoconą z liści nie traci jednak czerwonej brunatności. Ziemia przejmując kolory debów, klonów, osik.

Woda, port. Ale ten napis na stacji — Tichookieńska — licho wie, czy wysiadać. Na peronie grupa z kwiatami w dłoniach, nastawiony w stronę pociągu aparat fotograficzny. Ejże, czyżbyśmy dojechali i cała ta pompa dla nas?

Ano dla nas, i uczcie się żurnaliści całego świata, jak kolegów po fachu witać. Tylko dywanu i orkiestry zabrakło. Ale był za to najprawdziwszy „gaj” błyskający „kogutem”, zawodzący milicyjną syreną na czele kawalkady samochodów wędrujących z nami po Nachodce przez całe dwa dni.

Ech jółki pialki — pomrukuje od czasu do czasu JURII MAKIEJEW — naczelny wydawca w Władywostoku dziennika „Krasnoje Znamie”, przewodniczący miejscowego oddziału Związku Dziennikarzy, a ja dopowiadam w myśli — ech, sopki, sopki. Jedziemy z Portu Wschodniego. Droga w budowie, ręką sięgnąć — ściana wzgórz, w przebiegach skalnej zapory i tumanów kurzu, pojawia się i znika autentycznie błękitno-smaragdowa woda zatoki. Tej samej, którą znaleźli zbłąkani w morzu żeglarze w roku 1859, co dało dziesięcemu miastu nazwę. Tej samej, która opasana 32-kilometrowym bulwarem tworzy to dziwne, jak by jednopasmowe miasto liczące sobie oficjalnie zaledwie 29 lat. Na motorówce, w tamtą stronę nawet Irina skapitulowała — masz rację, czuję ocean. A towarzyszący nam przez cały czas sekretarz propagandy Komitetu Partii — MIKOŁAJ BARANOWSKI, podsluchawszy, dorzucił — no, nie na darmo powstał tu wiersz — *Nachodka, twoimi oczyma Rosja patrzy w ocean...*

Port Wschodni. W roku 1971 przyjechała tu 70-osobowa grupa budowniczych z Odessy. Wbili pierwsze pale w grzązawiska. 27 grudnia 1973 roku przy nabrzeżu stanął pierwszy statek.

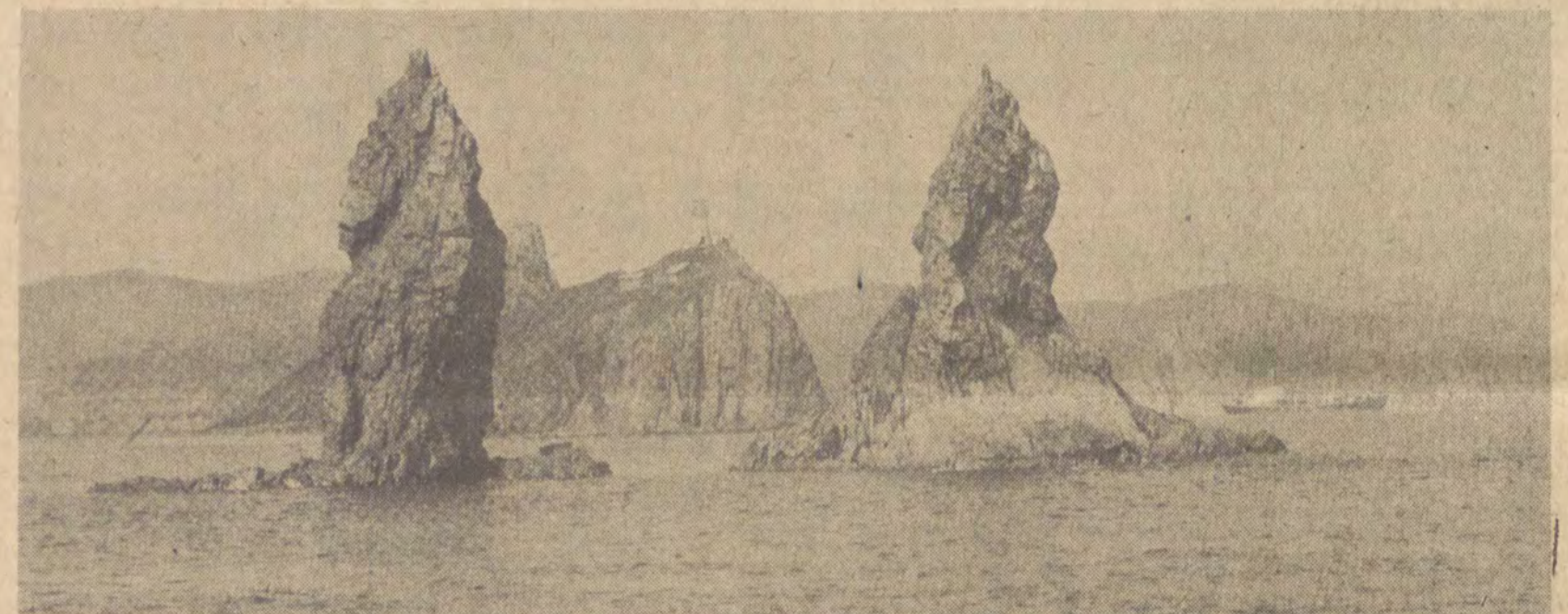
Port Wschodni. Dziś 8 mln ton przeładunku — drewno, węgiel, drobnica w kontenerach. W przyszłości — 40 mln ton i podwojenie zdolności przeładunkowych wszystkich czterech dotychczasowych portów Nachodka.

Port Wschodni. Pusty plac, bez ludzi, całe zaautomatyzowane „fabryki” ładunkowe, dworzec kontenerowy wyposażony w urządzenia z Japonii, RFN, USA. Najkrótsza droga z Europy do Azji, morskie przedłużenie BAM, „paszport” dla sybirskich bogactw, „kasa” przyciągająca wpływy z międzynarodowego tranzytu.

Na przyjęciu wydawanym przez załogę rybackiego trawlera wyłożono dwadzieścia tostów. Bagatela, spróbuj to wypić do dna. I ani jednemu mówcy nie zabrakło konceptu. No bo tu i cztery stocznie, i baza rybołówstwa dalekomorskiego o nieograniczonym zasięgu połowów, przedsiębiorstwo handlu zagranicznego „Dalintorg” działające na zasadach wymiany towarowej z przybrzeżnymi krajami Dalekiego Wschodu i program rozwoju miasta jasno sprecyzowany do roku 2-tysięcznego bez mała, w którym miejsce na wtłoczenie skalistych wzgórz w obręb metropolii zamieszkałej przez 350 tys. ludzi. No i ludzie. Ludzie morza. A tych wiadomo — serdecznością i gościnnością nie przeszkodzi.

Ładujemy. Znowu jest dziś. A w Nachodce... Otrzymany na pożegnanie koral z dna zatoki wyraźnie różowieje. W Nachodce jutrzejszy świt.

IWONA ŚLEDZIŃSKA



moja żona — Polka, jej ciotka mieszka na Krupniczej, trzeba by kiedy pojechać.

Dwójka Francuzów przed nami wykreśla na mapie przebywany szlak, parę foteli dalej kolega z „Polityki” znalazł się w samym środku prowadzonej przez budowniczych Ust’lmskiego Kombinatu Celulozowo-Papierniczego dyskusji o wyższości socjalizmu nad kapitalizmem, a „Polskie Radio” z Koszalina — jak słyszę — szlifuje przez całą drogę swój angielski. Niezle, jak na pierwszy dzień syberyjskich odkryć. Nawet brak śniegu, mżawka, plus dwa stopnie i Irkuck, podobny do Radomska, nie powinien nas już zaskoczyć.

Zaskakuje, ale raczej uroda i spokojem płynącej przed hotelem Angary, „odzieżowa” zamocność sklepów, uroda a także i jednak cenami owoców i warzyw przywożonych na targ przez Gruzinów, Uzbeków, Turkmenów, 4—6—8 rubli za kilogram — ale kupujących nie brakuje, więc widocznie ta witaminowa wędrowka oplaca się obu stronom.

Wpadamy w rytm spotkań, wizyt, dyskusji. Notuję: Obwód irkucki rozciągający na obszarze dwukrotnie większym od Polski zamieszkuje 2 560 tys. ludzi. Tajga i woda są jego największym bogactwem. Z wody — energia, z tajgi — drewno, celuloza. Ochrona środowiska i kadry gotowe osiedlać się tu stałe po umownym okresie 3—5 lat oddelegowania na wielkie budowy — są jego największym problemem. — Nie przesadzajmy jednak — mówi WIKTOR ŁATYSZEW, wiceprzewodniczący Wojewódzkiej Komisji Planowania — Bajkału nie zapalaliśmy, a młodych ludzi ogarniętych syberyjską tęsknotą też jeszcze nie brakuje. I zarobić u nas można i użyć się w pracy. Skończyliśmy Bracką elektrownię, Ust’lmską zaczęliśmy Boguchanśką. Skończyliśmy główny odcinek BAM-u, zaczęliśmy kłaść nowe tory na starym szlaku „Tajszet-Lena. Dziś produkujemy 60 mld kWh „wodnej” energii elektrycznej, stąd nas na 200 miliardów kWh. Pod topór idzie rocznie 32 mln m sześć, drewna, tajga stała i na 60—70 milionów. Niczym magnes działa skala dotychczasowych przeobrażeń i niewykorzystanych jeszcze możliwości.

Szef grupy cegieł na Politechnikę, gdzie — o czym nie wiedzą z reguły turyści — ogromna kolekcja bogactw syberyjskiej ziemi. Cóż tu opisywać. Wystarczy zajrzeć sobie do tablicy Mendelejewa i sprawa staje się jasna. Potem, tylko jak by z większym już szacunkiem, udeputujmy asfalt ulicy, a i humory mamy lepsze, bo Pani Kustosz, już się postarała o to by każde-

ciętej 125-metrową zaporą. Równy, bardzo równy wyskakujały cyferki, równo, bardzo równo płyną kilowaty. I dlatego ta wybudowana za 730 mln rubli elektrownia o mocy 4,5 tys. megawatów, jest największą w świecie pod względem produkcji w skali roku. I dlatego owe 730 mln rubli zwróciło się już kilkunastokrotnie, a produkcja 100 kilowatów kosztuje tylko 5 kopiejek. A w każdym brackim mieszkaniu przegląd wszelkich urządzeń elektrycznych, bo opłaty za prąd — symboliczne.

Futrzone czapki, buty z renifera, włoskie koczuchy — może trzeba być babą, by zwracać uwagę na takie drobiazgi, gdy ci opowiadają o wielkich inwestycjach i odkrywaniu syberyjskiej łodówki, ale chyba są to obserwacje znacznie wykraczające poza babskie zainteresowanie modą. Jeśli okazuje się, że w Bracku każdy statystyczny mieszkaniec zostawia rocznie w sklepach 2 tysiące rubli. A że na marginesie notatek przywiezionych z „Angarstroja” — przedsiębiorstwa budowy dróg, tras kolejowych, no i oczywiście Bajkalsko-Amurskiej Magistrali znalazło się zdanie: *Złata Lebiada, szef planowania — piękna kaszmirowa spódnica... Niech będzie, że przez moment oddalam się „prywatnie”.*

No i jesteśmy, gdzie już prawie wszyscy odwiezający Syberię po roku 1874 byli. Na trasie BAM.

Trudno nie być, gdy przez pięć lat położono w tajdze, przecinając mostami wody, przebijając tunelami góry ok. 2 tysięcy kilometrów torów, 3142-kilometrowa linia BAM łącząca Lenę z Komsomolskiem nad Amurem obrasta dziesiątkami rozgałęzień, na północ, południe, kluczy między budowanymi w tajdze kompleksami przemysłowymi, wiąże dziś z perspektywą lat dwutysięcznych. Jest nie tylko zwykłym szlakiem transportowym, który odcina i dubluje na nowym szlaku starą magistralę transsyberyjską. Jest autentycznym symbolem współczesnej Syberii. Pomysłana jako budowa pod patronatem Komsomolu, wiąże z syberyjską ziemią tysiące młodych Białorusinów, Gruzinów, Moskwian, Estończyków, wyzwala legendy i kreuje bohaterów.

Jesteśmy na nowo włączonym pod tytuł BAM odcinku Tajszet-Lena. Tym zbudowanym przez Angarstroj w latach 50, dziś zapchanym na jednej linii torów od początku do końca. Więc druga nitka. I weterani. WIKTOR ŁAKOMOW — brygadziśta, specjalista od węzłów rozdzielczych, członek Rady Najwyższej RFSSR, który niejedną kilometr tajgi przed toporami ochronił, biorąc się na serio do swych polskich obowiązków. I następny. ALEKSANDER ŁAWRIONKOW — też brygadziśta, specjalista od układania torów, chłopak z Doniecka, który nawet narzeczona do Syberii przekonał, a mróz

Trzy lata temu, w 1976 roku nie jeszcze nie wskazywało, że nad Azję Środkową nadchodzi burza. Szach Mohammad Reza Pahlawi panował niepodzielnie. W zagranicznych piśmiech pojawiały się doniesienia o trudnej sytuacji gospodarczej: brakowało specjalistów, transport nie nadążał z rozwojem towarów po kraju. Zaczynało brakować energii elektrycznej.

W sierpniu 1977 roku szach odwołał z urzędu premiera Amira Abbasa Hovejda, a na jego miejsce powołał Dżamszida Amuzegara. Miało to złagodzić coraz silniej demonstrowane niezadowolenie irańczyków. Nie złagodziło, nie powstrzymało. Padły strzały, połała się krew.

16 stycznia 1979 roku Mohammad Reza Pahlawi wraz z rodziną opuścił Teheran i wyjechał za granicę „na wypoczynek”. Upadła monarchia.

1 lutego 1979 roku w Teheranie wylądował samolot, którym wrócił z wygnania ajatollah Rumollah Chomeini. Dokonało się zwycięstwo irańskiej islamskiej rewolucji. Dla Iranu zaczęła się nowa epoka. Ale czy tylko dla Iranu?

Jak w tym rejonie świata wygląda sytuacja w połowie grudnia 1979 roku?

Irańscy studenci — ale, jak donosił z Teheranu Ryszard Kapuściński, są to licealiści — okupują amerykańską ambasadę w Teheranie, trzymając w niej 41 zakładników. Jimmy Carter i jego doradcy gwałtownie szukają sposobów wyjścia z konfliktu, jaki wywołało opanowanie ambasady przez irańskich studentów. Okręty VII Floty USA rozlokowały się w pobliżu Zatoki Perskiej, a dowódca tej floty, wiceadmirał C. R. Foly oświadczył, że znajduje się ona w pełnej gotowości i jej jednostki są zdolne wykonać „różne zadania w ochronie amerykańskich interesów w obszernej rejonie, obejmującym również Iran”.

Konfliktem irańsko-amerykańskim zajmuje się Rada Bezpieczeństwa ONZ, która nakazała, aby rząd irański zwolnił zakładników i pozwolił im powrócić do USA, a konflikt między obu krajami powinien być załatwiony w drodze pokojowych negocjacji. Również Międzynarodowy Trybunał w Hadze zdecydował, że amerykańscy zakładnicy mają być zwolnieni. Iran nie przyjmuje do wiadomości obu decyzji, domagając się wydania szacha, który był na leczeniu w Nowym Jorku. 15 grudnia 1979 roku Reza Pahlawi opuścił USA i udał się do Panamy. Irańscy studenci uważają, że ambasada USA była siedzibą szpiegowską, a amerykańscy dyplomaci — szpiegami przebranymi za dyplomatów. Będą oni wszyscy — zgodnie z zapowiedzią — sądzeni przez rewolucyjny trybunał.

W Islamabadzie — stolicy Islamskiej Republiki Pakistanu — demonstranci spalili amerykańską ambasadę. Były ofiary w ludziach. Zastatkowano też ambasadę USA w Trypolisie, stolicy Libii, demonstranci wyrażali poparcie dla irańczyków, palili portrety szacha i domagali się jego wydania. Pułkownik Muamar Kaddafi zwrócił się do rządu Iranu z apelem o zwolnienie amerykańskich zakładników.

Na dziedzińcu irańskiego MZS, jak i na lotnisku w Teheranie koczują irańscy ochotnicy, którzy chcą walczyć w Libanie u boku żołnierzy OWP przeciw Izraelowi. Rząd Libanu odmówił przyjęcia ochotników z Iranu. W Libanie około jednej trzeciej ludności stanowią szyici. Rewolucja irańska daje im niewątpliwie poczucie siły, ale też komplikuje sytuację. Szyici libańscy są wrogo nastawieni do Libii, w której zginął ich imam, Musa Sa'ad. Iran pojechał się z pułkownikami Kaddafim i nakazał zaprzestania ataków przeciw Libii. Libańscy szyici są w konflikcie z OWP, z którą w przyjazne kontakty wszedł Iran. W tej sytuacji pojawienie się w Libanie braci z Teheranu mało komu jest na rękę, nawet OWP, której chcą pomagać, gdyż ich pojawienie naruszyłoby istniejący układ sił i to wcale nie na korzyść OWP.

Dwa tygodnie trwały walki w wielkim meczecie w świętym mieście muzułmanów — Mekce. Zginęło 135 osób, a wśród nich prawdopodobnie Ibn Abdullah al-Qantani, którego chcieli obwołać imamem, czyli nowym prorokiem. Przywódca rebeliantów, Juhaiman Al-Oteiba, wraz z innymi ujętymi, znajduje się w niewoli i zgodnie z prawem islamu zostanie skazany na śmierć za naruszenie święt śc meczetu.

Rewolucja irańska z wielką uwagą śledzą uważnie rządy i społeczeństwa całego Bliskiego Wschodu, północnej Afryki i południowej Azji. W Kuwejcie i Bahrajnie mullahowie zmienili ton kazań, nadając im wydźwięk polityczny, inspirowane się niewątpliwie wydarzeniami w Iranie. Uważa się również, że istnieje ścisły związek przyczynowy między rewolucją irańską a atakami rebeliantów Juhaimana Al-Oteiba na wielki meczet w Mekce.

Co się więc stało takiego na przełomie lat 1978–1979, że wywołało takie reperkusje w rejonie Bliskiego

i Środkowego Wschodu? Ze odbiło się echem na całym świecie?

Odpowiedzi na te pytania trzeba szukać w przeszłości, w czasach, kiedy ludy Bliskiego i Środkowego Wschodu w różny sposób dostawały się pod panowanie niemuzułman. Przyczyną kolonialnej ekspansji Europejczyków, a później Amerykanów jest kapitalizm, rozwój cywilizacji, konieczność posiadania rynków zbytu, jak i surowców. A Bliski i Środkowy Wschód posiada naftę.

Nauki Mahometa zjednoczyły ludy tego rejonu. Arabowie ruszyli na podbój świata i przez pewien czas panowali na obszarze od Chin po Atlantyk. Islam pozostał w tym rejonie jako trwała wartość społecznej świadomości, a nie tylko umierająca religia. Europejczykom i Amerykanom zadufanym w swej kulturze i cywilizacji wydawało się, że są godni naśladowania. Wszędzie wchodzili ze swoimi zwyczajami, obyczajami, zasadami, nie licząc się z ich przyjęciem, z obyczajowością miejscowej ludności. Górne warstwy społeczeństw muzułmańskich europeizowa-

wania. Odrzucili muzułmańską tradycję Iranu, a oparli się na tradycji perskiej. Nie przypadkiem ze wschodnim przepychem obchodzono w Persepolis 2500 rocznicę założenia monarchii perskiej przez Cyrusa II. Było to jakby wskazanie: — oto skąd wywodzi się nasza tradycja, wracamy do początków naszej świetności i w oparciu o tę tradycję budujemy świetność współczesną. „Biała rewolucja szacha i narodu” miały przynieść Iranowi dostatek i postęp, a wywołała rewolucję, jako odpowiedź na terror SAVAKU i penetrację Amerykanów. Szach zlekceważył muzułmańską tradycję Iranu, swoją wewnętrzną politykę naruszył społeczne struktury państwa.

Seyyed Hossein Naser, wykładowca uniwersytetu w Teheranie, zwraca uwagę, że islam nie poddał się zachodnim ideom filozoficznym, bardziej atakowany był przez modę i obyczaje Zachodu. I wszędzie, gdzie wybuchały zamieszki ich ostrze kierowało się przeciw barom, restauracjom, kinom, klubom zakładowym na wzór zachodni. Uważni obserwa-

wszystkim i oznacza wszystkim. Smuciłoby nas stawianie obok słowa „islam” innego określenia, ponieważ islam jest doskonałością. Jeśli pragniemy islamu, to po cóż nam precyzować, że chcemy demokracji? To jest tak, jakbyśmy mówili, że pragniemy islamu i że trzeba wierzyć w Boga...”

Tu niezbędne wyjaśnienie. Muzułmanin obowiązany jest wypełniać pięć podstawowych obowiązków: wierzyć, że „Nie ma Boga prócz Allacha, a Mahomet jest jego prorokiem”, modlić się pięć razy dziennie, dawać biednym jałmużnę, pościć w miesiącu ramadan i raz w życiu udać się z pielgrzymką do Mekki. Największym, niedopuszczalnym przestępstwem wobec Allacha jest utrata wiary.

Ajatollah Szariat Madari, który jest w opozycji do imama Chomeiniego, jeśli chodzi o poglądy na państwo, zgadza się z nim w sprawach wiary. Powiedział on:

— „Nauki i wskazania Świętego Koranu mogą najlepiej regulować ży-

jakimkolwiek rejonie świata mogą doprowadzić do wielkiego konfliktu, po którym nic nie zostanie. Poza tym rewolucja irańska może mieć nieoczekiwany wpływ na rozwój ruchów społecznych nie tylko na Bliskim Wschodzie.

„Chomeinizm” — jeśli można użyć takiego określenia — znajduje uznanie u mas islamskich w wielu krajach. Mówi się na ogół, że muzułman jest na świecie około 700 tysięcy, ale niektórzy podają również liczbę 900 tysięcy. Muzułmanie w różnych krajach rozumieją irańską rewolucję, jako protest przeciw mocarstwu, którego wpływy wynaturzają kulturę islamską i raną godność narodową muzułman. Głównym celem ataku są Stany Zjednoczone, ale w istocie jest to protest przeciw całemu Zachodowi. Ten protest nie zyskuje aprobaty niektórych rządów, wprowadza bowiem zamieszanie do ich polityki zagranicznej. Jednocześnie stanowi zagrożenie wewnętrzne. W Iraku na przykład szyici stanowią większość, ale rządzeni są przez mniejszość sunnicką. W Iraku i Iranie są Kurdowie, którzy od wielu lat dążą do niepodległości, a to — wbrew pozorom — oba kraje nie łączą. Kurdowie irańscy wystąpili już przeciw perskiej dominacji, a imama Chomeini niedowzuszczanie dawał do zrozumienia, że uczynili to z inspiracji „obcych agentów”.

„Chomeinizm” niesie z sobą jeszcze jedno niebezpieczeństwo dla wielu rządów nie tylko Bliskiego Wschodu. Występuje on w obronie czystości islamu. Juhaiman Al-Oteiba, zaatakowawszy na czele rebeliantów wielki meczet w Mekce, wygłosił przez megafon gromkie oskarżenie władców Arabii Saudyjskiej. Wypominał im orgie w willach Lazurwego Wybrzeża, filmy pornograficzne przywożone w kasetach do purytańskiej Arabii Saudyjskiej, łapówki pobierane za kontrakty podpisywane przy kupnie broni, hazardowe gry w kasynach zachodniej Europy, picie alkoholu. Słowo „Paryż” wymawiał z ogromnym obrzydzeniem, jako symbol zachodniego zepsucia, które przenika do islamskiej Arabii Saudyjskiej za pośrednictwem panujących, nadmiernie bogatych się księży. A wszystko to są ciężkie przestępstwa według zasad islamu.

I jeszcze jeden interesujący szczegół. Juhaiman Al-Oteiba studiował na islamskim uniwersytecie w Mekce. Pochodził on z beduińskiego plemienia Oteiba, zamieszkującego okolicę Hedżaz, który w latach 1923–1930 walczył u boku króla Abdel Aziza i stanowili podporę jego władzy. Dziś jeszcze członkowie tego plemienia służą w „białej gwardii” króla Chaleda i są uważani za wierniejszych od żołnierzy armii saudyjskiej. Ci wierni z najwierniejszych musieli jednak być zastąpieni w walce z rebeliantami przez wojsko, gdyż zobaczyli wśród rebeliantów swoich współplemieńców i wielu z nich przeszło na stronę obrońcy czystości wiary — Juhaimana Al-Oteiby.

Na politycznej mapie świata pojawił się nowy czynnik — wojujący islam. Statystycy obliczają, że najliczniejsze skupiska muzułman są w Indonezji, Indiach, Pakistanie, Bangladeszu. Wyznawcy Mahometa są też w innych krajach, w niewielkiej ilości również na południu Europy. Ale burza przetacza się głównie nad Azją. Wywiad amerykański sygnalizuje, że Pakistan jest w przededniu dokonania eksplozji bomby atomowej. Przypomina się powiedzenie nieżyjącego prezydenta Pakistanu, Zulfikara Ali Bhutto: — Zbudujemy bombę atomową, nawet gdybyśmy musieli żreć trawę”. General Zia-ul-Haq, który stanął na czele rządu po obaleniu Ali Bhutto, niezmienne dąży do tego samego celu. Wywołało to niepokój nie tylko u sąsiadów Pakistanu — w Indiach, ale również innych państwach, w tym ZSRR i USA.

Wszystko to razem powoduje, że naszych zainteresowań rewolucją irańską nie wolno ograniczać tylko do egzotyki zachodzących tam wydarzeń, ale trzeba starać się wnikać w ich źródła, jak i w ich istotę. A do tego potrzeba głębszego rozumienia islamu. Nie wolno bowiem islamu traktować analogicznie do innych religii. Nie wolno ruchu islamskiego oceniać z pozycji europejskiego zdziwienia, a tak najczęściej robimy.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

BURZA NAD AZJĄ

wały się i amerykanizowały, ale masy ludowe pozostały głęboko muzułmańskie. Zresztą, jak się to okazało w Iranie, również i naleciałości europejsko-amerykańskie wśród średnich warstw okazały się niebawymie trwałe.

Wielu znawców problemów tego rejonu zwraca uwagę na fakt, który łatwo uchodzi Europejczykowi z pola widzenia. Europejczyk czy Amerykanin szybko fascynuje się przemianami, jakie dokonują się w duchu cywilizacji Zachodu, a zupełnie nie dostrzega tego, co jest trwałe, niezmienne, głęboko zakorzenione i autentyczne. W Iranie fascynowano się na ogół szybką adaptacją zachodniej kultury, pomijając zupełnie fakt, że islam był tu, trwał i stanowił trwałą, autentyczną wartość w świadomości społecznej ludu irańskiego. Do tej trwałej wartości odwołał się ajatollah Chomeini. Wartość tę zlekceważył szach Reza Pahlawi. Nie docenili jej również Amerykanie. Na dobrą sprawę, to nikt jej nie docenił i nie wiem, czy dziś się właściwie ten fakt ocenia.

21 lutego 1921 roku Reza Chan, oficer kozaków irańskich, wkroczył do Teheranu na czele trzech tysięcznego oddziału i objął władzę w Iranie. 23 października 1923 roku został premierem. 31 października 1925 roku obalona została dynastia Kaddarów. 13 grudnia 1925 roku na tronie perskim zasiadł Reza Chan. Koronował się na cesarza 25 kwietnia 1926 roku. 16 września 1941 roku Reza Chan, nie ukrywający swych proimperialistycznych sympatii, abdykował na rzecz swego syna — Mohammada Rezy Pahlawiego. Taka jest w skrócie historia „dynastii Pahlawich”. Od samego początku weszła ona w konflikt z szyckim duchowieństwem Iranu.

Mohammad Reza Pahlawi usiłował „dorobić” tradycję do swego pa-

torzy wydarzeń w tym rejonie świata zwracając również uwagę na ideowy walor islamu. Nie przypadkiem przytacza się fakt, że na 10 Afrykańczyków, którzy odchodzą od swych tradycyjnych wierzeń, siedmiu przyjmuje islam, a tylko trzech chrześcijaństwo. Islam jest bowiem religią i ideologią, która w żaden sposób nie kojarzy się z kolonializmem.

Europejczyk czy Amerykanin oburzony jest odrzuceniem zachodnich wzorów, czy to, co było w Iranie cienką naleciałością, a nie rozumie, że wyzwoili się trwałe wartości islamu. Mówi się o barbarzyństwie, o powrocie do średniowiecza, o cofnięciu się w przeszłość. Mało komu przychodzi na myśl „prawda, że to, co dokonuje się w Iranie jest tylko przywróceniem istniejących tam wartości do właściwego — według muzułman — wymiaru. Bez takiego spojrzenia na procesy, jakie zachodzą w tej części świata niewiele można zrozumieć.

Włoska dziennikarka, Oriana Fallaci przeprowadziła rozmowę z imama Rumollahem Chomeinim. Zadała mu między innymi takie pytanie: — „... A co rozumie pan pod słowem „demokracja”? Stawiam panu to pytanie powodowana szczególną ciekawością, ponieważ w czasie referendum „Republika czy monarchia” zakazał pan określenia „Demokratyczna Republika Islamska”. Wymagał pan słowa „demokratyczna” i powiedział: „ani słowa więcej, ani słowa mniej”. Co nie podoba się panu w tym słowie, które my, ludzie Zachodu, uważamy za tak piękne?”

— Na wstępie: słowo „islam” nie potrzebuje takiego przymiotnika jak „demokratyczny”, ponieważ islam jest

cie społeczne. Ale co jest jeszcze ważniejsze: jeśli pragniemy rzeczywiście kierować krajem na sposób muzułmański, to musimy wykonać wszystkie wskazania Koranu, a nie tylko niektóre, inne pomijając. Istnieje równowaga, istnieją określone proporcje w naukach islamu, których dokładne przestrzeganie pozwala kierować całym krajem. Jeśli ktoś spodziewa się, że można rządzić krajem muzułmańskim stosując tylko niektóre ze wskazań Koranu i ignorując je z innymi prawami — to jest to zupełnie błędne oczekiwanie”.

Imam Rumollah Chomeini: — „Lud walczył o islam. Islam zaś oznacza wszystko, a w tym to, co się u was (na Zachodzie — przyp. L.W.) nazywa wolnością i demokracją. Tak, wszystko jest w islamie, islam obejmuje wszystko, islam jest wszystkim”.

Oriana Fallaci zapytała jeszcze: — „Imamie, demokracja to coś znaczy więcej. Twierdził tak ci irańczyk, który tak jak my nie rozumieją wielu spraw i stawiają sobie pytanie: ku czemu zmierza pańska Republika Islamska...”

Imam Chomeini: — „Jeśli wy, cudzoziemcy nie rozumiecie, tym gorzej dla was. W ogóle, ta sprawa was nie dotyczy, nasze decyzje nie powinny was obchodzić. Jeśli niektórzy irańczykowie nie rozumieją, tym gorzej dla nich. Są to ci, którzy nie rozumieją islamu”.

Imam Chomeini myli się. Szanując prawa każdego narodu do takiego urzędowania swych spraw wewnętrznych, jaki mu odpowiada, musimy jednak starać się zrozumieć to, co dzieje się na świecie. Ten, tak bardzo podzielony, świat stanowi jednak nierozdzielalną całość. Każdy konflikt, każde przemiany, dokonujące się w



Na politycznej mapie świata pojawił się nowy czynnik wojujący — islam.

MIROSLAW KUŹNIAK

NASZA KOCHANA CIOCIA

SEANS
SPIRY-
TYSTYCZNY

Ktorego dnia ciocia powie-

działa:

— Urządzimy seans spiryty-

styczny.

Józio zatarł ręce i zakręcił

się koło kredensu. Ciocia po-

patrzyła na mnie znacząco:

— To będzie seans spi-

rytystyczny! — powie-

działa z naciskiem.

— Świetnie — uśmiech się

Józio. — Czy dla cioci też

przygotować kieliszek?

Ciocia skrzywiła się z nie-

smakiem.

— Słowo spirytyzm pochodzi

od łacińskiego „spiritus” i zna-

czy duch!

— Jak go zwali, tak go zwa-

li, byleby była okazja — po-

wiedziała Józio beztrosko.

— Józio, ciocia mówi, że be-

dzimy wywoływali duchy, roz-

zumiesz? — powiedziałam.

— Na trzeźwo?

Miałem również wątpliwości,

ale ciocia wiedziała lepiej. Józio

próbował wyrazić brak

zainteresowania dla duchów.

Ciocia jednak nie było w

stanie odwieść od powziętej

decyzji. Zażądała małego, okra-

głego stolika. Dysponowałem

jedynym dużym, kwadratowym,

rozkładanym stołem z zestawu

„Wyszków”.

— No, cóż, kochani, w na-

szych trudnych czasach musi-

my iść na kompromisy — po-

wiedziała ciocia z westchnie-

niem. — Usiądźmy przy stole.

Ciocia zgasiła światło i ka-

zała nam wziąć się za ręce.

— Długo zastanawiałam się

nad tym, jakiego ducha wy-

wołać. Postanowiłam — ciocia

lekko zawiesiła głos — wywo-

łać ducha mojego biednego,

niedawno zmarłego męża a

waszego wujka.

Józio delikatnie próbował

wyjąć rękę z kręgu, ale ciocia

trzymała go krzepko.

— Duchu Bolesława, duchu

mojego męża, odezwij się! —

zawołała ciocia niesamowitym

głosem.

W ciszy, jaka zapadła po tych

słowach, słyszałem tupot mro-

— A więc nie wujek?!

— A pamiętasz, kim był

nasz wujek?

— Hydraulikiem.

— No, właśnie. To był głos

wujka — powiedział Józio i

znowu sobie nalał.

Mieliśmy szczęście, że ciocia

postanowiła wezwać ducha

swego drugiego męża. Pierw-

szy był pilotem lotnictwa bom-

bowego.

CIOCIA
DAJE
Z SIEBIE

Ciocia chodziła zamyślona.

Trochę martwił się z Józio-

niem o jej zdrowie, bo ciocia

nie miała refleksyjnej natury.

Kiedy już zastanawialiśmy się

nad wezwaniem doktora, ciocia

oznajmiła:

— Postanowiłam stać się

człowiekiem pożytecznym.

— W jakim sensie, ciociu?

— spytałem.

— Oczywiście, w sensie spo-

łecznym. Człowiek nie powin-

ien zasklepić się w rozpamię-

towaniu przeszłości, trzeba,

kochani, iść z duchem czasu.

Od dziś więc kończę z wybu-

jałym indywidualizmem, ego-

centryzmem, a przede wszyst-

kim egotyzmem. Muszę się

uaktywnić społecznie, dać lu-

dziom coś z siebie.

Długo zastanawialiśmy się,

co by mogła dać ciocia z sie-

bie ludziom. Posiadała niewie-

le. Złota broszka — po matce

nieboszczce i złotą zapinkę

do krawata — po mężu nie-

boszczku. Mało, a jeszcze

trzeba się tym dzielić?

W końcu ciocia wymyśliła:

— Kochani, zostanę opie-

kunką dzieciątek! Opieka nad

małymi, słodkimi istotkami,

których rodzice ciężko pracują,

jest ważną społeczną potrzebą.

Kwalifikacje mam i to chyba

nie najgorsze. W końcu przez

czterdzieści lat opiekowałam

się waszym wujkiem. A wiek-

sze dziecko niż był mój

świeżej pamięci mąż, niełatwo

znaleźć.

Ciocia rozpoczęła wędrówkę

w poszukiwaniu pracy. Mijały

dni, a ciocie z każdym dniem

opuszczają zapal i energię.

— Wyobraźcie sobie, że za-

dają ode mnie referencje! Ode

mnie! — oburzała się ciocia.

Józio proponował, żeby ciocia,

zamiast referencji, podsu-

— Prawda, że ładny bobasek?

— powiedziała ciocia z

rozzuleniem, gdy dziecko

przyszło. — No, chodź do swo-

jej niani, no, chodź dziecinko.

A może chłopczyk głodny? Za-

raz niania da papu, tylko trzeba

rażeczki umyć. No, marsz do

łazienki.

Dziecko niezbyt chętnie po-

szło do łazienki. Wróciło i za-

siadło przy stole, zażądało gru-

bym głosem:

— Pić!

— Och, jaki śmiały chłop-

czyk! — rozczuliła się ciocia.

— Może dziecinka ma ochotę

na kakao? Albo mleczko?

— Wódki! — zawołało dzie-

cko jeszcze grubszym głosem.

— A fe, brzydki chłopiec! —

oburzyła się ciocia i wyszła do

kuchni. Podążyłem za nią. Sta-

ła przy piecu i podgrzewała

mleko. Cicho się wycofałem.

W pokoju dziecka już nie by-

ło. Ciocia była niepokieszona.

— Taki miły chłopiec, szko-

da, że poszedł.

Okazało się, że dziecko, wy-

chodząc, wzięło sobie kilka za-

bawek. Same drobniaki, ciocią

złota broszka po mamie nie-

boszczce i złotą zapinkę do

krawata po mężu nieboszczku.

Chciała ciocia dać coś z siebie

ludziom. I dała.

CIEPŁO

Ostatnio z Józio-

niem, że z ciocią dzieje się coś

dziwnego. Gdy zbliżaliśmy się

do niej, parzyła. Pierwszym

razem parzyła mnie, gdy wręczał

mi kwiatek z okazji imienin.

Józio zaś sparzył się bardzo

pożwinnie, gdy pomagał cioci

włożyć karakulowe futro. Długo

zastanawialiśmy się nad

przyczynami tego zagadkowego

zjawiska. W końcu nie było

rad, musieliśmy spytać ciocię.

— Parzy? — zdziwiła się mi-

lą. — Nie wlecie, co parzy?

Och, kochane guptaski, parzy

moje wewnętrzne ciepło!

Rzeczywiście, nie zauważy-

liśmy, że wewnętrzne ciepło

cioci z wolna stawało się we-

wnętrznym ogniem, a nawet

żarem. I ten żar nas parzył.

W niedługi czas potem tę

dziwną właściwość cioci po-

czeli zauważać znajomi. Zaczę-

li się nawet jakby od cioci i

od nas odsuwać. Było upalne

lato i wewnętrzne ciepło cioci

przeszkadzało w podtrzymywaniu

znajomości. Lato prze-

minęło, nadeszła słotna jesień

i wtedy zauważyliśmy znaczne

poszerzenie kręgu naszych zna-

jomych. Prawdziwy triumf to-

warzyszył święta cioci zimą.

Gdy za oknami przełaziły się

zadymki i śnieżyce, a na szy-

bach mroź malował fantazyjne

kwiaty, w pobliżu cioci za-

dejsz do niej na trzy kroki. Z

cioci wprost buchało ciepłem!

Tego dnia ciocia otrzymała

zaproszenie do znajomych, któ-

rzy urządzali małe rodzinne

przyjęcie. Oczywiście, wraz z

ciocią poszliśmy i my. Dom był

wychłodzony. Wejście cioci zo-

stało powitane burzliwym o-

klaskami zbiegających gości.

Pani domu, usadzając ciocię za

stół, przezornie odsuwała od

niej zakąski. Wiadomo — w

cieple jedzenie psuje się szyb-

ciej.

Od razu zauważyliśmy z Józ-

niem, że nie wszyscy zebrani

witają ciocię z jednakowym za-

paleniem. Jeden z gości przywitał

ciocię z całkowitą obojętnością.

Był to mężczyzna niemłody,

ale barczysty i z wyglądu —

zdrowy. Miał on tak, jak po-

zostali, czerwoną z zimna

twarz i siny nos.

Zauważyła go również ciocia.

Zrazu zaskoczona jego

dziwnym zachowaniem, po

chwili podesunęła się lekko ku

nienemu z krzesłem. Mężczyzna

siedział nieporuszony, milczą-

cy. Widziałem, jak ciocia deli-

katnie wionęła ku niemu ciep-

łem. Nic, nawet ich nie skrzy-

wił. Goście zorientowali się w

sytuacji i zaczęli bacznie się

im przyglądać. A ciocia wciąż

podsuwała krzesło w pobliże

mężczyzny. Ze zgrozą, ale i z

podziwem patrzyliśmy jak w

milczeniu przyjmował na sie-

bie całe fale rozbuchanego

ciepła wewnętrznego cioci. Ze-

by choć się skrzywił, ale nie.

Gdy w końcu ich krzesła ze-

teknęły się, ciocia nie wytrzy-

mała. Wysokim, załamującym

się głosem, krzyknęła:

— Cham! Łobuz! Niekultu-

ralne zero!

Wróciliśmy w milczeniu do

domu. Józio ramieniem pod-

trzymał szlochającą ciocię.

Zapowiadała się nam napraw-

dę ciężka, mroźna zima.

— Zima była dla niej wy-

jątkowo ciężka.

— Mroźna — odpowiedzia-

łem.

— Ale i błotna.

— O, tak, błota było tej zi-

my bardzo dużo.

— A czy kto uszanował sta-

ruszkę tej zimy? Nie, nikt nie

uszanował! — dramatyzował

Józio. — Bez pardonu, bez

Anegdota literacka towarzyszy literaturze od początku literatury. Więcej — być może — sama literatura wzięła się właśnie z anegdoty, tak jak, wg Huizingi, kultura wzięła się z zabawy.

Wiekowa już anegdota opowiada o tym jak młodzieńca Adas Mickiewicz napisał kiedyś na szkolnej tablicy: „Nie-daleko Damazku — siedział diabeł na daszku” — i z tej zabawy wynikła potem wielka poezja romantyczna. Oczywiście nie każda anegdota musi być prawdziwa — wystarczy, aby była zabawna i dowcipna. I dobrze — oczywiście — jeśli coś z niej wynika głębszego.

Czyż może być coś bardziej wymownego, lepiej charakteryzującego klimat i ton minionych już sporów literackich — niż anegdota o Ważym i Głuchowskim? Późniejszy autor „Poezji dla dorosłych” grzmiał na poetycką zabawowość „Zielonej Gęsi” Głuchowskiego, wołając: „Ukręmy wreszcie łeb temu mieszańskiemu kanarkowi”. Na co mistrz Konstancji odpowiedział: „Wówczas po kanarku zostanie tylko klatka”.

Przed wielu laty ukazała się interesująca antologia „Anegdoty o uczonych”. Niestety — nikt nie pokusił się o opracowanie podobnej antologii o pisarzach. Być mo-

że dlatego, że taka antologia jest w ogóle niemożliwa? Bo przecież — trzeba by było pomieścić w niej całą wiaściwą literaturę, która jak podejrzewam — wzięła się z anegdoty. Oczywiście pisząc „anegdoty”, nie mam na myśli wyłącznie zgrabnego żartu, bon motu, czy wicu. Chodzi mi w ogóle o krótką opowieść, jakiś drobny narracyjny, który — jako gatunek — wywodzi się jeszcze z literatury mówionej, ludowej.

ANEGDOTY LITERACKIE

Ale przecież i ta zwykła, żartobliwa anegdota ubarwia literaturę, zbliża ją do czytelnika, opowiada o kulisach tworzenia, o różnego rodzaju autorskich „kiksach”. Podobnie jak ubarwia literaturę autorskie pomyłki i potknięcia. Kiedy — przywołany tu już — Adam Mickiewicz w „Pana Tadeusza” wpisuje dwuwersz życiem wyrwany z homerowskiej „Illiady” — nie oburzamy się przecież. Przerwywamy mechaniczną lekturę i zaczynamy się zastanawiać, co sprawiło, że ten geniusz słowa raptem w jednym miejscu przystanął, zająknął się, nie znalazł własnego ekwiwa-

lentu dla opisanej sceny — lecz sięgnął (być może automatycznie) do zapamiętanej ze szkolnej lektury strofy Homera.

Czy taki „kiks” ujmuje nam coś z wielkości Poety? Moim zdaniem — absolutnie nie! Zakłękły w spiz Wieszcz staje mi się jeszcze bliższy, jakiś bardziej ludzki, zwyczajny.

Bywa często tak, że anegdota o pisarzu w sposób najbardziej syntetyczny mówi o jego twórczości. O Michale Choro-

mańskim opowiadano m. in. taki żarcik: „Posadzono mnie na specjalnym fotelu, owinięto mi szyję jakimś białym prześcieradłem i obcy człowiek z wystraszonym narzędziem w ręku pochylił się nade mną niebezpiecznie blisko...” To była relacja Choromańskiego z wizyty u fryzjera. Albo tak: „Wszedłem do małego pokoju bez okien. Jakś chłopiec w dziwnym, nie znanym mi mundurze przycisnął guzik u mieszczonego w ścianie i nagle wszyscy razem unieśliśmy się w górę...” Była to relacja z jazdy windą.

Każdy kto czytał udziwnione, niesamowite powieści Cho-

romańskiego („Słowacki wysp południowych”, „Schodami w dół” i inne) — wie, że ta anegdota absolutnie wiernie oddaje klimat książek tego pisarza. Mógł je napisać tylko ktoś, kto na co dzień uwielbiał takie opowiadki.

Na koniec prawie zupełnie nieznaną anegdotą o Lucjanie Szezwaldzie. Rzecz dzieje się przed wojną — zima. Szezwald w lekkim paletku, w tenisowych pantoflach z twardą obwiązaną chustką idzie sobie tanecznym krokiem ulicą Mazowiecką. Spotyka go zaprzyjaźniony pisarz i mówi: „Jeśli jest pan w kłopotach to chętnie panu pomogę”. — „Dokonał — powiada Szezwald — niech mi pan pożyczyc pięć złotych”. — „Ależ ja chętnie pożyczę panu pięćdziesiąt”. Szezwald popatrzył na mówiącego z roztargnieniem, machnął ręką lekceważąco i powiedział: „No już dobrze, niech ostatecznie będzie pięćdziesiąt”.

I ktoś by przypuszczał, że z tego zakochanego w klasycznej literaturze, żyjącego w świecie starych książek młodego poety — wyrośnie autor przejmujących wierszy politycznych. Ale z anegdotą jest tak jak z literaturą, — nigdy nie wiadomo jaki dalszy ciąg dopisze jej życie.

WIDOK

TADEUSZ KOZUSZNIK



O czasie nieludzki —
bez Kozusznika Teatr Ziemi
Łódzkiej!!!

Rys. Andrzej Tylczyński

LEWYM OKIEM

HEJ, ŚPIEWAJMY, ANIOŁKOWIE...!

Gdy ktoś nie może się zdecydować na to, jaką by tu chorobą wyróżnić się w kwiekającym według zwyczajów towarzystwa, zaczyna mówić o swoim złym samopoczuciu, spowodowanym niechybnie przez halny, wiejący w różne strony po drodze, pomiędzy Łodzią a Tatrami, nieprzekładając halnemu w jego szatańskim działaniu. Elegancko jest też wspomnieć coś o uczuleniu, na przykład na wodę, pięgi i dzień tygodnia. Prawdziwym alergikiem, którym szczerze współczuć należy, chciałbym przypomnieć, że podczas świąt Bożego Narodzenia mogą łatwo nabawić się sierpniowego kataru śniego. A jakimże to sposobem?

To wcale nie żart. Pewien uczonej w Kanadzie, doktor Wyse, stwierdził, że pyłki różnych traw przyklejają się do żywych gałek choinek, potem taka choinka postawiona w pokoju wchłonie, pyłki opadają, mieszają się z kurzem i powodują autentyczne dolegliwości alergiczne: katar, wysypkę, trudności z oddychaniem.

Inny uczonej — co może również zainteresować niektórych Czytelników w związku ze świątami — stwierdził, że spośród napojów alkoholowych najgorszego kaca powoduje koniak. Pogląd ten, jakoby koniak działał nieszkodliwie, a nawet wręcz leczniczo, nie są prawdziwe. Zawiera on znaczne ilości estrów, odpowiedzialnych właśnie za zakłócenie równowagi chemicznej w organizmie, co odczuwa się następnie jako głąwe czyli kaca. Obie te wiadomości o choinkach i o koniaku — podaje za „Lamusem ciekawostek” Maria-
na Kozłowska.

Żeby pozostać przy tematyce świątecznej, sięgam w głąb stołu starych pism, nagromadzonych zbieracką pasją. Oto „Kurier Warszawski” z 24 grudnia 1916 roku. Warszawę okupują Niemcy po wyparciu stąd carskich pułków. Wszystko jednak kupuje się za ruble i kopiejki, a w kurierze — co całkiem nie do pomyślenia podczas drugiej wojny światowej — czytamy komunikaty z frontów nie tylko niemieckie i austriackie, lecz także — francuskie! Kino „Filharmonia” gra dramat kryminalno-detektywny „Krzyk w nocy”, restauracja „Alkazar” wydaje Wigilię Staropolską z pięciu dań (karp królewski po polsku, kulebiak), pracownicy firmy A. Kłyszewski i K. Raczkowski składają podziękowanie szefom za udzieloną gratyfikację świą-

teczną. Wewnątrz numeru wiersz Tuwima: „Nowina”, z dedykacją „Pani L. D.”. W wierszach zebranych podano, że powstał on (bez dedykacji) w grudniu 1915 roku. Nie wiem, czy doczekał się publikacji w roku po napisaniu, czy może to przedruk. I jeszcze drobne ogłoszenia: „Dla osiemnastoletniej bluralistki chorej na płucą na leczenie składam rubli 2”. „Akuszerka Maryczka przyjmuje na słabość. Praktyka zagraniczna. Tania”. „Salon komfortowo umeblovany w każdej chwili do wynajęcia”.

A oto „Ilustrowany Kurier Polski” z 24 grudnia 1942. Gdziośna tygodniówka, wydawana w Krakowie przez Niemców. Tego dnia Gwardia Ludowa dokonała w tymże Krakowie zamachu na lokale „Cyganeria” i „Bis”. Na Zamojszczyźnie walki. Ciekawe walki w oblężonym Stalingradzie i w Afryce. Gdziośna nie wspomina o wojnie ani słowem. Publikuje zdjęcia z cyrku berlińskiego, parę mdłociekawych opowiadań wigilijskich o tatustu i o dzieciach, a polskie taneczki, reklama obuwia „Bata” i reprodukcja obrazu Zofii Stryjeńskiej na całą stronę.

Wreszcie „Przekrój” z 24 grudnia 1945. Wojna skończyła się pół roku temu, trwa proces w Norymberdze. Artykuł o malarstwie abstrakcyjnym: wiersz Miłozna „Na plaży” (w grudniu); opowiadanie Estreichera przedrukowane z emigracyjnej prasy sprzed dwóch lat; opowiadanie Swinarskiego „Strachy na strychu” i obraz Zofii Stryjeńskiej na całą stronę. Ale poza tym — wiele materiałów tęcznych wydarzeniami tamtych dni. Są też ogłoszenia reklamowe (wtedy „Przekrój” takowe zamieszczał):

Hej, śpiewajmy, aniołkowie,
bo to radość co się zowie,
pięśń po całym świecie idzie:
białe zęby po „Anidzie”!

Dziś inne pieśni idą po świecie, a zęby są białe po innych cudach chemii i kosmetyki, nie po Anidzie. Choinki mamy sztuczne i niekiedy wybuchają, ale nie ma na nich pyłu z trawy i z innych ziół. Koniaki pijemy, bo drogie, a na coś trzeba wydać pieniądze, żeby zasnąć trochę pocucia dostatek i sukcesu. Uwaga! Jednakże na kaca! Wesołych Świąt!

CWIEK

PROPOZYCJE

Świąteczny felieton wymaga innego podejścia — takie dostawiam dyspozycje. Ludzie będą mieli kilka wolnych dni, powinni się więc nad tym i owym zastanowić — tłumaczono mi — więc coś im podsuń do myślenia. Latwo powiedzieć — gorzej zrobić. Gdyby wszystko było tak łatwe robić, jak się mówi, to moglibyśmy wydać na święta jeden numer „Odgłosów”, a kilka. Ale, czy tylko my mielibyśmy obfitość produktów?

Niestety, łatwiej się mówi, trudniej się robi. Gdyby było inaczej, nasz ukochany sekretarz redakcji, Jurek Katarasiński, nie wyrwałby sobie resztek bujnego niedętego owłosienia głowy, rozpaczliwie płacząc, że nie ma z czego zrobić gazety. Płacze on zresztą od samego początku, czyli od dnia, kiedy do nas nastał, a mimo to robi gazetę. Nawet w wolnych chwilach od pracy udaje mu się do Szwecji wyjechać i to wcale nie na weekend, tylko aby napisać reportaż.

Ale ja mam pisać poważnie, żeby było o czym pomyśleć. Żadnych chichów-śmichów. Refleksyjnie i intelektualnie. Bo potem zarzucają nam, że poziom mamy niski. A co to jest poziom, jak go zmierzyć, czy on jest wysoki, czy niski? I dla kogo jest jaki? Może właśnie urok gazety polega na tym, że każdy może w niej znaleźć coś dla siebie, a jak sobie życzy czegoś nadzwyczajnego, spouda poprzeczki, to sięga do różnych roczników, kwartalników, dwu- i miesieczników naukowych, specjalistycznych, poświęconych sztuce, architekturze, filmowi i tak dalej. Czy nad tym nie warto w święta pomyśleć?

Powiedziano mi, że to nie moja sprawa. Ja mam zajmować się zupełnie czymś innym. Niech będzie. Chciałem o wojnie. Czerdzięści lat minęło od chwili, gdy się zaczęła, niedługo 35 minie od chwili, gdy

się skończyła. Szmat czasu. Zostawiła ślad w pamięci kilku pokoleń. Do dziś się nie możemy z tym uporać. A tu coraz głośniejsze znowu nam chętnie by coś nowego, jeszcze gorszego uszykowali.

Nie — powiedziałem — bo to ma być coś pogodnego. Nie żadne tam UFO, czy inne trójkąty z Atlantydą włącznie. Fantastyka będzie bogato reprezentowana na osobnej stronie numeru świątecznego, więc mam nie wchodzić w parady. Najlepiej, jakieś paradoksy z życia. Ba, i to ma być pogodno.

Ale owszem, znalazłem. Oto w „Głosie Wielkopolskim” ukazał się artykuł Wiesława Pokrzyckiego udowadniający, że gastronomia i handel postępują w myśl zasady:

TEMAT NA ŚWIĘTA

mały obrót — duży zysk. Nie od dziś wiadomo, że tak jest. Można byłoby podziwiać odwagę autora „Głosu Wielkopolskiego”, który zaatakował wielkopolską gastronomię, uważaną gdzie indziej za wcale dobrą. Ale autor wpadł na genialny pomysł. Swoją krytyczny tekst poprzedził następującą notą:

„Wszelkie ewentualne podobieństwa opisanych sytuacji z działalnością któregośkolwiek przedsiębiorstwa w Wielkopolsce — są całkowicie przypadkowe. Autorowi wiadomo, że funkcjonujące w regionie, a zwłaszcza w Poznaniu organizacje handlowe noszą miano producentów w kraju, były wielokrotnie wyróżniane i nagradzane, a ich pracownicy w ogromnej większości pełnią wzorowo swoje obowiązki. A poza tym au-

tor ma trochę przyjaciół wśród ludzi handlu, których życzliwość za żadną cenę nie chciałby stracić”.

Dobre, co? Bardzo dobre. W zasadzie wszyscy dobrze i ofiarnie pracują. Jak tak się słucha różnych wypowiedzi do mikrofonu, kamery, czy notosu, to nie tylko zachwycić się. Wszyscy ofiarnie coś robią, nie szczędząc sił potu i czasu. Tylko skąd później biorą się różne „poślizgi”, niedoróbki, usterek, spóźnienia, braki, buble i tak dalej. Chyba zasługa to krasnoludków, ale fantastykę mamy gdzie indziej i nie z tych rzeczy. Nie będzie więc o krasnoludkach!

Dodać tylko, że z „Zwicia Gospodarczego” dowiedziałem się, iż w tym samym Poznaniu, w hotelu „Polonez” kelnerzy odpowiadają za sztucę. Wiele każdy z nich stoi nad jedzącym czy pijącym herbatę i patrzy, czy gość nie chowa aby łyżeczki, łyżki, widelca, noża (niepotrzebne skreślić) do kieszeni. W ten sposób kelnerzy mają co robić, a magazyńcy spokój, że nie nie zgłnie. Pogodne — to, co? I daję do myślenia, nie?

No to się chyba wywiałem z zadania. Tematu świątecznego nadal nie ma, ale pomyśleć jest o czym. Gdyby jednak komuś przyszło do głowy naprawdę pomyśleć, to ostrzegam, że wszelkie ewentualne podobieństwo do czegośkolwiek jest zupełnie przypadkowe. Cały felieton wyssałem z palca, a nawet mój ukochany sekretarz redakcji jest uosobieniem spokoju, łagodności, wyrozumiałości, przysięgam — to fałszywy facet i tak mi nikt nie uwierzy, a jego bujne owłosienie jest przedmiotem zadrzasku nas wszystkich. Poza tym to chamskie kłóć z czyjegoś wyglądu. I zupełnie słusznie będzie, jak mi nie się z tego felietonu nie ukarze w druku.

Wesołego jajka kochane ludzie!

MARCIN RODAK

ze skarbnicy doświadczeń, na którą składają się doświadczenia i osiągnięcia ich zagranicznych kolegów. Pisalimy o wszystkim! I co...? I nie! Z drugiej strony nie ma żadnego odzewu. Jeśli prezes klubu się na nas obrazi, to tylko w zaciszu swojego gabinetu. Może nawet uszyje nam buty i odświeży nas od czci i wiary, ale na łamach gazety nie wystąpi. Nie napisze, iż nie zgadza się z nami co do oceny działalności placówki, którą kieruje. Nie złoży skargi o pomówienie do sądu dziennikarskiego”.

A więc nam wszystkim cho-

odmówi się kompetencji lub posadzi się go o złą wolę, to „nie ma sprawy”. Krytyka nie jest obiektywna i można spać spokojnie. Czy rzeczywiście?

Myli się Waldemar Łysiak posadzając działacza i trenerów o chęć zrzucenia całej winy na Jacka Gmocha, aby inni mogli mieć spokój. Nie wszyscy bowiem są przekonani, że stało się coś złego. W redakcji tygodnika „Piłka Nożna” zasiadli do dyskusji dwaj specjaliści: Stefan Grzegorzczak i Jerzy Lechowski. Oto, jak zaczęli swoją rozmowę:

— „Dlaczego nie wygraliś-

my miejsce drugie i można je uznać za czołowe. Nie ma o czym mówić. To, że nie posiadamy reprezentacji olimpijskiej i nie będziemy bronić nawet srebrnego medalu na boiskach w Moskwie już się zupełnie nie liczy. Jak i to, że nasze klubowe drużyny też nie liczą się nawet wśród najsłabszych zespołów Europy. Plan został wykonany. Takiego zdania jest też prezes PZPN, generał brygady dr Marian Ryba. Powiedział on w wywiadzie dla tejże „Piłki Nożnej”:

— „Drużyna narodowa przegrała jedno spotkanie i w zasadzie zadanie wykonała. Gdyby nie pewne potknięcia organizacyjne, wykonałaby plan z nadwyżką. Największą dla mnie niedogodnością jest drużyna olimpijska...”

Wzruszyła mnie szczerść prezesa PZPN. Dla mnie też niedogodnością jest drużyna olimpijska. Ale ja patrzę na poczynania naszych piłkarzy i działaczy z pozycji kibica.

Prezes PZPN, o ile się orientuję, odpowiada za pracę Polskiego Związku Piłki Nożnej i jest od tego, aby rozwiązywał różne równania z wieloma niewiadomymi nawet. Bezradność prezesa PZPN może mnie wzruszać, jest taka bardzo ludzka, ale czy na tym powinno się kończyć?

Nasza olimpijska reprezentacja grała nie tylko źle, ale jeszcze na dodatek zupełnie nie w olimpijskim stylu. Prezes zapowiada „surową, ale sprawiedliwą ocenę sezonu”. I zapew-

TAK, ALE...

dzi o to, abyśmy dyskutowali przy pomocy argumentów, a nie insynuacji.

Zdarzyło się już słyszeć i takie „argumenty”, że wszystkim mu winna prasa, bo źle pisze o piłkarzach. Trenerzy uważali, że wszystkim jest w porządku, bo drużyna wypełniła w stu procentach plan taktyczny, tylko nie wygrała meczu, bo nie miała szczęścia, albo padał deszcz i piłka była mokra. Przeciwnik niby grał wtedy suchą piłką. Dziennikarze i kibice, którzy też widzieli, co działo się na boisku, mieli inne zdanie, ale „nie mieli kompetencji”. Fałszywe to założenie, ale bardzo wygodne dla krytykujących. Jeśli krytykującemu

my? — pytają dzisiaj wszyscy. A co mieliśmy wygrać? Siedem zwycięstw, trzy remisy, jedna porażka — czy to zły bilans roku 1979?

— Nie wygraliśmy tego, co najważniejsze — eliminacji mistrzostw Europy.

— Czy ktoś to obiecywał? W oficjalnym dokumencie PZPN, podanym w zeszłym roku na konferencji prasowej do publicznej wiadomości, mówi się tylko o zajęciu jednego z czołowych miejsc. A więc z góry zakładano, że piłkarze Holandii lub NRD będą o nas lepsi!

Wszystko w porządku. Wprawdzie w ogóle nie weszliśmy do finału, ale w grupie ma-

Dziś w świątecznym „Załączniku” (nr 56/.../79) rozdajemy po wierszyku.

Chcieliśmy dać po równo ale ktoś to rozścielił
kto dostał za dużo
niech się podzieli
Kto dostał za mało
niech się nie smuci
na przyszłe święta
choinka wróci

DYREKTOROWI MUZEUM SZTUKI

Oby muzeum twoje
wyszło ci na Zdrowie*)
drogi panie Ryszardzie**) przyjacielu sztuki.
Oby wszystkie Witkace,
Kobry, Krawczykowie,
wyszły na światło ulic
udzielać nauki.

Niech w plenerze topocą
chorągwie Hasłora,
konstrukcje

Strzebińskiego
w osiedlach ożyją.
Poznański's

underground***)
opuścić już pora
niech plastyka się stanie
nasza, nie niczyja.
Niechże wreszcie

mieszkaniec
Dąbrowy, Retkini,
Teofilowa bloków,
Chojen i Zatorza
wie, że Picasso jest tu,
Calder, Prampolini,
by ich zobaczyć, nie trzeba
jeździć aż za morza.
Obyś mógł swe muzeum
otworzyć na przestrzał

nie tylko na New Yorki,
Sztokholmy, Londyny.
Oby twe ekspozycje
łyknęły powietrza
zdrowego, bo ze Zdrowia.
Tego ci życzymy.

*) aluzja
**) Stanisławski
***) aluzja

NAM WSZY- STKIM



Rys. Andrzej Adamowicz

MINISTROWI ENERGETYKI

Tu szczyt... lękam się spojrzeć w przepaść
Spójrz... Ach, w moim M-4 pomrok, na ulicy
szaro... Cóż tam jeszcze mam w swej dyspozycji,
dwudziesty zasłania stópki tuż przede mną.
Patrzę teraz na góry, doły i gdzie indziej,
na letni kaloryfer, wyłączoną windę.
A tam? O, czy to perspektywa przyszłości,
słoneczna?

Porąbki żary, Bełchatowa komin
gazyfikacja węgla i ciepło z atomu:
choć ciemno i chłodno, mniej nam martwić
się trza!

Ministrze kaloryczni! Już życzenie leci:
byś, gdy aura fatalna włączy wyłączenia,
gdy wiosna — zima, jesień — lato zmienia
— mógłś rodaków energią włączyć do swej sieci!

*) Juliusz Słowacki, „Kordian”

MINISTROWI KOMUNIKACJI

Zyczym panu, proszę pana
by pan co dzień, już od rana
regulował swój zegarek mógł przy torze.

By zawiązał i śnieżyce
dla kolei były niczym
by mówiono: nam transportu nie nie smode.

By pokaas, gdy się dofrase
władz towaru, nie powietrze,
by mówiono: nam transportu nie nie smode.

I gdy nowy rozkład jazdy*)
wreszcie resort twój rozdrażnił
— byś do Łodzi mógł przylecieć samolotem.

P.K.P. — przyp. J. K.

REKTOROWI PAŃSTWOWEJ WYŻSZEJ SZKOŁY FILMOWEJ, TELEWIZYJNEJ I TEATRALNEJ

Żyję z wami, ciarpię z wami, płaczę z wami*)
nie mi, co w filmie polskim nie jest chojnym.
Patrzac dziś na was wolę rozmawiać z duchami.
O! Filmie polski! Czemu-m taki smętny?

Czyż zostawię po sobie jakiego dziedzica
Czy samych tylko Wajdów, Zanussiów, Kieślowskich?
Któż zasmuteńca wyraz zetrze z mego lica.
Któż o los polskiej szkoły zdejmie ze mnie troski.

Trudne ja mam posiewy, ciężka ma poręba:
jakże geniusza ziarno dostrzec ma me oko?
— Ten co dziś oracyję praw, jak tylko mu się da
będzie-li taśmofiliem czy zajdzie wysoko?

Zyczenia nasze Drogi rektorsze
Zyczymy dużo taśmy w kolorze.

por. Juliusz Słowacki „Testament mój”

MINISTROWI ŁĄCZNOŚCI

Halo, panie Ministrze!
Halo...

Czy pan mnie słyszy?
(Kabel znów przemógł
lub mroź go ścisnął)

— a może zjadły go myszy?!

Halo, Ministrze...

...nie, ani słowa.

Halo!

Nie Tokio, nie Rzym, nie Krym

— zwykła międzymiastowa!

Halo, Ministrze, halo!

...mówi się, ale co z tego.

— Jest pan tam jeszcze?

Głośniejszy nie mogę!

Przeliteruję: a i l i e p a z e g o i

Halo, Ministrze!

Halo...

(Wybilo już z dwa tysiące)

— Nie, to nie kadry!

Nie skupi! Nie hurt!

(Szybiel! byloby gońcem)

Halo, Ministrze, halo!

— Tak, słyszę, chce panu życzenia.

Halo, powtarzam...

Nie. Się nie mówi.

Mam dosyć. Do widzenia.

„ODGŁOSOM”

Czegóż można ci żywić
mój starszy bracie
— Abyś nie na kolanach
Chodził po świecie

Byś w polemikach, w tekstach

Jak w uległościach przebiegał

Byś zart i dowcip rozumiał

Jak my tu teraz

Na gwiazdkę ci darujemy

szkła ci różowe ni czarne

Umiej dostrzec co piękne

umiej odrzucić co marne

teksty z pomocą

Słowackiego,

Szekspira

i innych

napisał

JERZY

KATARASIŃSKI

PREZYDENTOWI MIASTA ŁODZI

Stać, albo nie stać. Oto jest pytanie. *)

Nie stać? Samotnie znosić przeciwności losu?

Nie móc se poplotkować? Wszak żyć tak nie sposób.

Ten to ciężki dylemat stawiles przed nami

w majestacie swej władzy walcząc z kolejkami.

O wyjątek wszak teraz ośmielił się-ś prosić

w tych dniach tak uroczystych, w życzliwości święta

Byś przyklasnął jedynej z kolejek tworzeniu:

— tej, do której z nas każdy będzie mógł się zgłosić

by radzić, jak dopomóc Urzędowi twemu.

Zyczym-ć, aby to była najdłuższa kolejka.

por. William Szekspir „Hamlet”